

ni Klein  
„Doktryne szoku”

7.12.17

A. SINEK  
TOBIAKOWA  
22.12  
WSTĘP

## CZYSTE JEST PIĘKNE

### TRZY DEKADY BURZENIA I PRZEBUDOWY ŚWIATA

Ziemia została skażona w oczach Boga. Gdy Bóg widział, iż ziemia jest skażona, że wszyscy ludzie postępują na ziemi niegodziwie, rzekł do Noego: „Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykrocień przeciw mnie; zatem zniszczę ich wraz z ziemią”.

Rdz 6, 11–13\*

Operacje wojskowe „Szok i przerażenie” mają na celu wywołanie strachu, poczucia zagrożenia oraz sianie spustoszenia na tak dużą skalę, by przekraczały zdolność pojmowania zarówno całego społeczeństwa, jak i poszczególnych grup społecznych oraz władz. Także zjawiska przyrodnicze jak tornada, huragany, trzęsienia ziemi, powodzie, niekontrolowane pożary, klęski głodu oraz epidemie chorób zakaźnych mogą wywoływać skutki zbliżone do tych, jakie niosą ze sobą operacje „Szok i przerażenie”.

**Shock and Awe: Achieving Rapid Dominance (Szok i przerażenie, jak zdobyć szybką przewagę), doktryna militarna przyjęta przez armię USA w trakcie inwazji na Irak w 2003 roku<sup>1</sup>**

Jamara Perry’ego poznałam we wrześniu 2005 roku w zorganizowanym przez Czerwony Krzyż schronisku w Baton Rouge w Luizjanie. Czekał w kolejce po obiad wydawany przez młodych, uśmiechniętych od ucha do ucha scjentologów. Przed chwilą za próby rozmawiania z ewakuowanymi mieszkańcami Nowego Orleanu bez obstawy mediów zostałam stąd przepędzona. Teraz podejmowałam się niemalże niewykonalnego zadania: starałam się niezauważona wtopić w tłum Afroamerykanów z Południa. Ja, biała Kanadyjka. Wepchnęłam się do kolejki oczekujących na posiłek i ustawiłam się za Jamarem, by po chwili poprosić go o rozmowę – tak, jak gdybyśmy byli dwójką starych znajomych. Jamar był na tyle miły, że zgodził się zamienić ze mną parę słów.

\* Ten i następnne cytaty z Biblii za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. III, Pallottinum, Warszawa – Poznań 1982 (przyp. red.).

Jamar Perry urodził się i wychował w Nowym Orleanie. Jednakże tydzień wcześniej musiał uciekać ze swego rodzinnego miasta przed powodzią. Na pierwszy rzut oka wyglądał może na siedemnaście lat, ale w trakcie rozmowy okazało się, że ma dwadzieścia trzy. Jamar wraz ze swoją rodziną bardzo długo czekał na autobusy, które miały ewakuować ich z zagrożonego miasta. Autobusy nigdy jednak nie przyjechały, mieszkańcy byli więc zmuszeni opuszczać miasto na piechotę, maszerując w piekącym słońcu. W końcu dotarli właśnie tutaj – do tętniącego życiem centrum konferencyjnego, gdzie zwykle odbywają się targi przemysłu farmaceutycznego oraz impreza o nazwie „Capital City Carnage: The Ultimate in Steel Cage Fighting”. Tego dnia pomieszczenia centrum wypełniały dwa tysiące łóżek polowych oraz tłumy wściekłych, wykończonych ludzi pilnowanych przez nieco podenerwowanych żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy niedawno wrócili z Iraku.

Wszystkich zgromadzonych w centrum elektryzowały najnowsze wiadomości, w szczególności wypowiedź prominentnego republikańskiego kongresmana z Luizjany Richarda Bakera. Baker powiedział grupie lobbystów: „Nareszcie udało się oczyścić Nowy Orlean z mieszkań socjalnych. Sami tego nie dokonaliśmy – Bóg to zrobił”<sup>2</sup>. Również Joseph Canizaro, jeden z najbogatszych deweloperów z Nowego Orleanu, wypowiadał się w podobnym duchu: „Sądzę, że teraz mamy tutaj czystą kartkę i możemy zacząć wszystko od nowa. A taka czysta kartka stwarza nam zupełnie nowe możliwości”<sup>3</sup>. Przez cały ostatni tydzień korporacyjni lobbyści wykazywali się szczególnie dużą aktywnością w legislaturze stanowej w Baton Rouge. Dla nich faktycznie otwierały się „nowe możliwości”: niższe podatki, mniej regulacji prawnych, tańsza siła robocza oraz „mniejsze, bezpieczniejsze miasto” – co w praktyce oznaczało bardzo konkretny plan zrównania z ziemią starych budynków z mieszkaniami socjalnymi i zastąpienia ich prywatnymi apartamentowcami. Słuchając tej mantry o „nowym początku” i „czystych kartkach”, można było niemalże zupełnie zapomnieć o toksycznej brei gruzu, chemicznych ścieków i ludzkich zwłok, kłębiącej się zaledwie kilka kilometrów dalej.

Tutaj, w zorganizowanym przez Czerwony Krzyż schronisku, Jamar Perry nie mógł myśleć o niczym innym. „Ja tego nie postrzegam jako jakiegos «oczyszczania» miasta. Ja po prostu widzę, że w powodzi zginęło wiele osób. I wiem, że ci ludzie nie powinni byli zginąć”.

Chociaż Jamar mówił niezbyt głośno, jakiś starszy mężczyzna stojący przed nami w kolejce usłyszał naszą rozmowę i odwrócił się gwałtownie. „Co jest nie tak z tymi ludźmi z Baton Rouge? To nie jest żadna okazja, żadna nowa możliwość. To po prostu cholerna tragedia. Czy oni tam są ślepi?”.

Matka dwójki dzieci wtrąciła się do rozmowy: „Nie; oni nie są ślepi. To są po prostu źli ludzie. Z ich wzrokiem wszystko jest w porządku”.

Jedną z osób, która powódź w Nowym Orleanie postrzegala jako „otwieranie się nowych możliwości”, był Milton Friedman – wielki guru ruchu na rzecz niczym nieskrępowanego kapitalizmu oraz człowiek, któremu przypisuje się sformułowanie zasad, na jakich opiera się współczesna hipermobilna globalna gospodarka. W roku, w którym huragan Katrina przeszedł przez Luizjanę, Milton Friedman miał już dziewięćdziesiąt trzy lata, a stan jego zdrowia stale się pogarszał. Mimo to „wujek Miltie”, jak nazywali go zwolennicy jego poglądów, znalazł w sobie dostatecznie dużo energii, by trzy miesiące po tym, jak pękły wały przeciwpowodziowe chroniące Nowy Orlean, napisać felieton dla gazety „The Wall Street Journal”. „Większość szkół w Nowym Orleanie jest zrujnowana – pisał Friedman. – To samo dotyczy domów dzieci, które do tych szkół uczęszczały. Na skutek huraganu i powodzi dzieci z Nowego Orleanu są teraz rozsiane po całym kraju. To wielka tragedia. Ale to także doskonała okazja, aby przeprowadzić radykalną reformę systemu edukacyjnego”<sup>4</sup>.

Pomysł Friedmana na radykalną reformę polegać miał na tym, aby część z puli miliardów dolarów wyasygnowanych na odbudowę i podniesienie jakości szkół państwowych w Nowym Orleanie przeznaczyć na zupełnie inny cel: przekazanie rodzicom bonów, które ci mogliby następnie wykorzystać do sfinansowania edukacji swoich dzieci w prywatnych szkołach – przeważnie instytucjach typu for profit. W ten sposób środki publiczne posłużyłyby do subsydiowania prywatnych instytucji. Jak pisał Friedman, kluczowe w przypadku reformy edukacyjnej było to, aby nie ograniczyć się do tymczasowego eksperymentu, lecz uznać ją za „permanentną zmianę”<sup>5</sup>.

Eksperti z sieci prawicowych think-tanków natychmiast podchwycili pomysł Friedmana, toteż niebawem całe ich zastępy zaczęły zjawiać się w Nowym Orleanie. Administracja George’a W. Busha również poparła plan i przeznaczyła na ten cel dziesiątki milionów dolarów. Pieniądze te miały posłużyć na przekształcenie nowoorleańskich szkół państwowych w „szkoły czarterowe”, czyli finansowane z publicznych pieniędzy prywatne instytucje rządzące się według własnych reguł. Idea rozbudowy sieci szkół czarterowych budzi w USA wiele kontrowersji. Jej zwolennicy na szczególnie silny opór natrafili właśnie w Nowym Orleanie, gdzie rodzice z rodzin afroamerykańskich obawiają się, że takie reformy doprowadzą do sytuacji, w której jedno z największych osiągnięć ruchu na rzecz praw obywatelskich, czyli zagwarantowanie takich samych standardów edukacyjnych dla wszystkich dzieci w USA, zostanie utracone. Jednakże dla Milтона Friedmana

sama idea państwowego systemu edukacyjnego trąciła socjalizmem. Jak bowiem pisał Friedman, jedyną funkcją państwa powinna być: „ochrona wolności – tak przed zewnętrznymi wrogami, jak i przed współobywatelami. Chodzi tu o zachowanie spokoju i porządku publicznego, zmuszenie do poszanowania prywatnych umów i popieranie wolnego rynku”<sup>6</sup>. Ujmując sprawę najprościej, państwo powinno ograniczyć się do zatrudniania żołnierzy i policjantów. Wszelkie inne potencjalne funkcje, włącznie z zapewnianiem bezpłatnej edukacji, stanowiłyby niesprawiedliwą ingerencję w działanie rynku.

Podczas gdy odbudowa miejskiej sieci elektrycznej oraz naprawa zniszczonych wałów przeciwpowodziowych przebiegały w iście żółtym tempie, wyprzedaż państwowych szkół w Nowym Orleanie została przeprowadzona z precyzją i szybkością właściwą akcjom wojskowym. W ciągu dziewiętnastu miesięcy, kiedy to większość uboższych mieszkańców miasta wciąż koczowała z dala od swych domów, państwowy system edukacyjny został w Nowym Orleanie prawie w całości zastąpiony przez sieć prywatnych szkół czarterowych. Przed huraganem Katrina stanowe władze oświatowe zarządzały w Nowym Orleanie 123 publicznymi szkołami. Teraz władzom tym miały podlegać jedynie 4 takie placówki. Przed nadejściem kataklizmu w mieście działało zaledwie 7 szkół czarterowych. Teraz ich liczba wzrosła do 31<sup>7</sup>. Tutejsi nauczyciele cieszyli się silną ochroną ze strony związków zawodowych. Po ataku Katriny wynegocjowany przez związek układ zbiorowy przestał być honorowany. Cztery tysiące siedmuset nauczycieli należących do związku zawodowego zostało zwolnionych<sup>8</sup>. Część nieco młodszych pedagogów została zatrudniona przez szkoły czarterowe, zaoferowano im jednak niższe płace. Większości starych nauczycieli nie zatrudniono.

Jak zauważył jeden z dziennikarzy „The New York Timesa”, Nowy Orlean stał się „najważniejszym w całej Ameryce laboratorium do prowadzenia eksperymentów z wykorzystaniem szkół czarterowych na dużą skalę”. Natomiast American Enterprise Institute, think-tank promujący Friedmanowskie idee, ogłosił z entuzjazmem, że „huragan Katrina działał w jeden dzień to, czego luizjańskim reformatorom szkolnictwa nie udało się zrobić przez lata”<sup>9</sup>. Tymczasem nauczycielom pracującym dotychczas w państwowych szkołach przyszło obserwować, jak pieniądze, które miały zostać przeznaczone na pomoc ofiarom powodzi, wykorzystuje się do zastąpienia publicznego systemu szkolnictwa siecią nowych, prywatnych szkół. Plan Friedmana określono jako „edukacyjną grabież ziemi”<sup>10</sup>.

Ja natomiast takie zorganizowane ataki na sferę publiczną po rozmaitych katastrofach, w połączeniu z traktowaniem tych katastrof jako świętych

okazji do ubicia interesu, nazywam kapitalizmem kataklizmowym (*disaster capitalism*).

Opublikowany przez Milтона Friedmana felieton na temat Nowego Orleanu należy uznać za ostatnią wskazówkę, jakiej ekonomista udzielił politykom. Niecały rok później, 16 listopada 2006 roku, Friedman zmarł w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Prywatyzacja systemu szkolnictwa w średniej wielkości amerykańskim mieście wydaje się stosunkowo błahym zagadnieniem w przypadku człowieka uchodzącego za najważniejszego i najbardziej wpływowego ekonomistę minionego półwiecza. Wśród wyznawców doktryny ekonomicznej sformułowanej przez Friedmana znajdowali się m.in.: prezydenci USA, brytyjscy premierzy, rosyjscy oligarchowie, polscy ministrowie finansów, dyktatorzy z krajów Trzeciego Świata, sekretarze generalni Komunistycznej Partii Chin, dyrektorzy Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz kilku ostatnich szefów Rezerwy Federalnej. Nie da się jednak ukryć, że determinacja, z jaką Friedman walczył o wykorzystanie powodzi w Nowym Orleanie do upowszechniania fundamentalistycznej wersji kapitalizmu, stanowiła dla tego wyjątkowo dynamicznego i niestrudzonego, a mierzącego niecałe 160 centymetrów wzrostu profesora ekonomii dość adekwatną formę pożegnania się ze światem. Za swoich najlepszych lat Friedman zwykł porównywać się do „pastora z minionej epoki wygłaszającego niedzielne kazanie”<sup>11</sup>.

Przez ponad trzy dekady Milton Friedman oraz jego zwolennicy udoskonalali strategię kapitalizmu kataklizmowego. Najpierw wyczekuje się na poważny kryzys, następnie zaś powstałe w jego wyniku zamieszanie wykorzystuje się do oddania części sektora publicznego w prywatne ręce. Na koniec takie „reformy” uznaje się za permanentne.

W jednym ze swoich najważniejszych esejów Friedman dokładnie opisał taktykę, za pomocą której współczesny kapitalizm realizuje swoje cele. Ja nazywam tę koncepcję doktryną szoku (*shock doctrine*). Jak pisał Friedman: „Tylko kryzys – rzeczywisty lub postrzegany – prowadzi do realnych zmian. Kiedy taki kryzys nastąpi, rodzaj podejmowanych działań będzie zależał od tego, jakie pomysły dominują na rynku idei. I tutaj właśnie dostrzegam nasze najważniejsze zadanie. Musimy stwarzać alternatywy dla istniejących rozwiązań, mówić o nich i utrzymywać je przy życiu, aż pewnego dnia to, co politycznie niemożliwe, stanie się politycznie nieuniknione”<sup>12</sup>. Niektórzy ludzie na wypadek kataklizmu gromadzą zapasy – magazynują wodę oraz puszki z jedzeniem. Friedmaniści gromadzą wolnorynkowe idee. Ekonomista z Uniwersytetu Chicago uważał, że kiedy kryzys w końcu nadejdzie, należy działać natychmiastowo. Radykalne reformy trzeba narzucić

niezwłocznie, zanim wstrząśnięte kryzysem społeczeństwo znów popadnie w „tyranię status quo”. Friedman szacował, że „nowa administracja ma na przeprowadzenie poważniejszych zmian jakieś sześć do dziewięciu miesięcy. Jeżeli nowa ekipa nie skorzysta z nadarzającej się sposobności i w tym czasie nie będzie działać zdecydowanie, druga taka okazja już się nie powtórzy”<sup>13</sup>. Ten swoisty wariant rady udzielanej przez Machiavellego, zgodnie z którą „krzywdy powinno się wyrządzać wszystkie naraz”, stał się jednym z najważniejszych elementów spuścizny Friedmana.

Pierwszą lekcję w zakresie wykorzystywania potężnego kryzysu Milton Friedman wziął w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy został doradcą chilijskiego dyktatora, generała Augusta Pinocheta. W okresie, jaki nastąpił po brutalnym zamachu stanu, społeczeństwo chilijskie pozostawało w stanie głębokiej traumy, potęgowanej jeszcze dodatkowo przez hiperinflację. Friedman doradził Pinochetowi, aby ten przeprowadził gwałtowną transformację gospodarki obejmującą: obniżkę podatków, liberalizację handlu, prywatyzację usług publicznych, cięcia wydatków socjalnych oraz deregulację. W efekcie tych zmian system publicznych szkół został w Chile zastąpiony siecią prywatnych szkół finansowanych za pomocą bonów. Transformacja, jakiej zostało poddane społeczeństwo chilijskie, to przykład najbardziej radykalnej kapitalistycznej inżynierii w historii. Reformy te nazywa się często „rewolucją szkoły chicagowskiej”, a to ze względu na fakt, iż wielu doradców ekonomicznych Pinocheta studiowało ekonomię na Uniwersytecie Chicago, gdzie wykładał Milton Friedman. Guru szkoły chicagowskiej przewidywał, że gwałtowność, skala oraz dynamika reform gospodarczych wywoła wśród społeczeństwa odpowiednie reakcje psychologiczne, które „ułatwią proces dostosowawczy”<sup>14</sup>. Friedman ukuł nawet nazwę dla postulowanej przez siebie bolesnej taktyki: terapia szokowa (*shock treatment*). Od tego czasu ilekroć jakiś rząd przystępował do wdrażania programu radykalnych reform gospodarczych, każdorazowo terapia szokowa była preferowaną metodą działania.

Pinochet „ułatwił proces dostosowawczy” za pomocą „szoków”, jakim wojskowy reżim w izbach tortur poddawał ciała tych, którzy przez nową władzę uznani zostali za potencjalnych przeciwników kapitalistycznej transformacji. Wielu obserwatorów wydarzeń w Ameryce Łacińskiej dostrzegało bezpośredni związek pomiędzy ekonomiczną terapią szokową, która wpędziła w nędzę miliony ludzi, oraz istną epidemią tortur, którym poddano setki tysięcy osób wierzących w to, że społeczeństwo powinno opierać się na innych zasadach. Jak pytał retorycznie urugwajski pisarz Eduardo Galeano: „Czy taki poziom nierówności społecznych może być utrzymany za pomocą innych metod niż elektrowstrząsy?”<sup>15</sup>.

Dokładnie trzydzieści lat po tym, jak te trzy formy szoku zostały zastosowane w Chile, możemy obserwować ponowną próbę wykorzystania tej taktyki (choć z większą dozą przemocy) – tym razem w Iraku. Pierwszym etapem była oczywiście wojna. Operacja wojskowa została przeprowadzona zgodnie z założeniami doktryny wojennej „Szok i przerażenie”, której twórcy postulują „uzyskanie pełnej kontroli nad wolą, zdolnością postrzegania i rozumowania przeciwnika oraz pozbawienie go możliwości zarówno działania, jak i reagowania”<sup>16</sup>. Drugim etapem było wprowadzenie pakietu radykalnych reform gospodarczych. Główny amerykański administrator cywilny w Iraku Lewis Paul Bremer rozpoczął wdrażanie terapii szokowej w czasie, gdy większość kraju była zniszczona na skutek działań militarnych. Reformy objęły: masową prywatyzację, całkowitą liberalizację handlu, wprowadzenie piętnastoprocentowego podatku liniowego oraz radykalną redukcję wydatków budżetowych. Tymczasowy minister ds. handlu Ali Abdul-Amir Allawi powiedział wówczas, że jego współobywatele „mają już serdecznie dość bycia poddawanych kolejnym eksperymentom. System zniósł już dostatecznie dużo szoków. Nie potrzeba nam kolejnego wstrząsu w formie terapii szokowej w gospodarce”<sup>17</sup>. Kiedy Irakijczycy zaczęli stawiać opór, spotkały ich represje w postaci aresztowań. W więzieniach ich ciała i umysły zostały poddane kolejnym wstrząsom, które tym razem przyjęły mniej metaforyczną postać.

Badania nad zagadnieniem zależności wolnorynkowej ekspansji od szoków zaczęłam prowadzić cztery lata temu, w początkowym okresie okupacji Iraku. W trakcie swojego pobytu w Bagdadzie pisałam o nieudanych próbach uzupełnienia operacji wojskowej prowadzonej według doktryny „Szok i przerażenie” o ekonomiczną terapię szokową. Następnie udałam się na Sri Lankę, gdzie zaledwie kilka miesięcy po katastrofalnym tsunami zobaczyłam po raz kolejny, jak funkcjonuje doktryna szoku. Zagraniczni inwestorzy oraz międzynarodowe instytucje finansowe połączyły siły i wykorzystywały atmosferę paniki, aby tamtejsze wyjątkowo atrakcyjne plaże przekazać w ręce przedsiębiorców, którzy natychmiast przystąpili do rozbudowy sieci luksusowych kurortów turystycznych. Dla setek tysięcy osób utrzymujących się z rybołówstwa taka prywatyzacja oznaczała przekreślenie możliwości odbudowania swoich rodzinnych wiosek wzdłuż wybrzeża. Jak obwieścił światu rząd Sri Lanki: „Jakkolwiek okrutny okazał się los wobec mieszkańców naszej wyspy, natura dała nam niezwykłą możliwość: katastrofę tę wykorzystamy do stworzenia najwyższej jakości kurortów turystycznych dla gości z całego świata”<sup>18</sup>. Kiedy więc huragan Katrina uderzył w Nowy Orlean i większość polityków Partii Republikańskiej, analityków

z think-tanków oraz deweloperów zaczęła powtarzać mantrę o „niepowtarzalnych możliwościach” i „czystej kartce”, jasne się stało, że to jest właśnie preferowany sposób realizowania celów świata korporacyjnego: wykorzystanie momenty zbiorowej traumy do przeprowadzenia radykalnej inżynierii społeczno-ekonomicznej.

Większość osób, które padają ofiarą klęski żywiołowej, nie jest zainteresowana „czystymi kartkami”. Przeciwnie – ofiary chcą uratować wszystko to, co nie zostało zniszczone, oraz odbudować to, co zabrał im kataklizm. W ten sposób ofiary potwierdzają więzi łączące je z miejscami, które uformowały ich tożsamość. „Kiedy angażuję się w odbudowę mojego miasta, to tak, jak gdybym odbudowywała samą siebie” – wyznała podczas usuwania gruzu naniesionego przez powódź Cassandra Andrews, mieszkanka nowoorleańskiej dzielnicy Lower Ninth Ward, która w trakcie huraganu ucierpiała najmocniej<sup>19</sup>. Ale w kapitalizmie kataklizmowym nie ma miejsca na odbudowę starego porządku. Zarówno w Iraku, jak i na Sri Lance oraz w Nowym Orleanie proces nazwany zwodniczo „odbudową” rozpoczął się od zniszczenia tego, czego nie zdołał zdewastować sam kataklizm. Usuwa się resztki sfery publicznej, przypuszcza się atak na społeczności zakorzenione w lokalnej rzeczywistości, po czym natychmiast przystępuje się do budowy nowego ładu – swoistego „korporacyjnego Nowego Jeruzalem”. W tym samym czasie ofiary wojny czy katastrofy naturalnej są jeszcze zbyt zdezorientowane, by móc przegrupować siły i bronić swoich racji.

Istotę doktryny szoku najlepiej ujął Mike Battles: „Dla nas poczucie zagrożenia i chaos to doskonała okazja do zarobku”<sup>20</sup>. Ten trzydziestoczteroletni były agent CIA tymi słowami wyjaśnił, w jaki sposób panujący w Iraku po inwazji chaos umożliwił jego niemalże nieznaną i niemającą prawie żadnego doświadczenia firmie ochroniarskiej Custer Battles zawarcie z rządem amerykańskim umów opiewających na kwotę 100 milionów dolarów<sup>21</sup>. Słowa byłego agenta CIA mogłyby jednak posłużyć jako motto współczesnego kapitalizmu: strach i chaos stały się bowiem katalizatorami kolejnych skoków naprzód.

Kiedy rozpoczęłam badania nad związkiem pomiędzy kolosalnymi zyskami a katastrofami na olbrzymią skalę, byłam przekonana, że oto staję się świadkiem fundamentalnej zmiany sposobu, w jaki przebiega globalna „liberalizacja” rynków. Dotychczas angażowałam się w działalność ruchu sprzeciwiającego się wszechwładzy świata korporacyjnego, o którym to ruchu świat dowiedział się przy okazji protestów zorganizowanych w Seattle w 1999 roku. W tym czasie byłam już przyzwyczajona do faktu, że poprzez naciski polityczne w ramach Światowej Organizacji Handlu (WTO) oraz poprzez warunki stawiane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) przy

okazji udzielania pożyczek państwa są zmuszane do wprowadzania rozwiązań zgodnych z żądaniami świata biznesu. Trzy najważniejsze postulaty – prywatyzacja, deregulacja oraz daleko idące cięcia wydatków socjalnych – były od początku bardzo niechętnie przyjmowane przez społeczeństwa w krajach starających się o pożyczki. Niemniej jednak zawierającym pod auspicjami WTO oraz MFW porozumieniom pomiędzy negocjującymi ze sobą rządami towarzyszyło poczucie chociaż minimalnego konsensusu. O konsensusie zwykli mówić też eksperci związani z tymi instytucjami. Punktem zwrotnym stały się jednak zamachy z 11 września 2001 roku. Okazało się, że od tej pory ten sam mocno zideologizowany program będzie wdrażany za pomocą stricte siłowych metod: albo w trakcie wojskowej okupacji kraju, który stał się celem inwazji, albo też przy wykorzystaniu zamieszania będącego skutkiem klęski żywiołowej. Po zamachach z 11 września Waszyngton zmienił swoją politykę tak, jak gdyby od tej pory Stany Zjednoczone były upoważnione do narzucania innym krajom swojej wersji „wolnego handlu i demokracji” za pomocą operacji wojskowych „Szok i przerażenie”. Ewentualne pytanie, czy dane państwo jest zainteresowane takim właśnie pakietem reform, stało się już zbędne.

Im dłużej jednak zajmowałam się historią triumfu wolnego rynku na skalę globalną, tym bardziej rozumiałam stawał się dla mnie fakt, iż wykorzystywanie kryzysów i kataklizmów stanowiło od samego początku modus operandi Milтона Friedmana i jego zwolenników. Najbardziej fundamentalistyczna wersja kapitalizmu potrzebuje katastrof, aby móc maszerować naprzód. Można z całą pewnością stwierdzić, że katastrofy stają się z czasem coraz bardziej spektakularne i powodują coraz większe zniszczenia, ale samo zjawisko nie jest nowe. To, co stało się w Nowym Orleanie oraz w Iraku, nie jest innowacją wprowadzoną dopiero po 11 września. W rzeczywistości bowiem te sposoby wykorzystywania nadarzających się kryzysów to jedynie kulminacja prawie trzydziestoletniej praktyki ścisłego przestrzegania zasad doktryny szoku.

Z punktu widzenia zwolenników tejże doktryny minione trzydzieści pięć lat to jednak zupełnie inaczej wyglądająca epoka. Najbardziej brutalne przypadki gwałcenia praw człowieka, na które zwykle patrzyło się jak na sadystyczne akty przemocy niedemokratycznych rządów, w rzeczywistości były celowymi działaniami polegającymi albo na sterroryzowaniu opinii publicznej, albo też na przygotowaniu gruntu dla radykalnych wolnorynkowych „reform”. W latach siedemdziesiątych podczas rządów junty w Argentynie „zniknęło” 30 tysięcy osób, z których większość stanowili lewicowi aktywiści. „Polityka zniknięć” stosowana wobec potencjalnych przeciwników politycznych była jednak integralnym elementem planu, w ramach którego

kraj został poddany rewolucji szkoły chicagowskiej. Terror stał się również nierozłącznym partnerem analogicznej transformacji społeczno-ekonomicznej przeprowadzanej przez zwolenników doktryny Milтона Friedmana w Chile. W Chinach w 1989 roku, kiedy doszło do masakry na placu Tiananmen oraz aresztowań setek tysięcy faktycznych i potencjalnych opozycjonistów, komunistyczne władze uznały, że od tej pory mają wolną rękę w realizowaniu programu reform. Kraj został przekształcony w dynamicznie rozwijającą się strefę eksportową, w której robotnicy są zbyt sterroryzowani, by domagać się swoich praw. W 1993 roku Borys Jelcyń podjął decyzję o wysłaniu czołgów przeciwko parlamentarzystom, wydał rozkaz ostrzelania siedziby parlamentu i nakazał aresztować głównych przywódców opozycji. W ten sposób droga do błyskawicznej prywatyzacji, która doprowadziła do wyłonienia się grupy cieszących się fatalną sławą rosyjskich oligarchów, stała się otworem.

Wojna o Falklandy w 1982 roku odegrała podobną rolę w przypadku rządu Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii. Zamieszanie oraz patriotyczne emocje wywołane przez wojnę pozwoliły kierowanemu przez Thatcher rządowi złamać strajk górników i rozpocząć pierwszą w świecie zachodnim falę prywatyzacji. Prowadzone przez NATO naloty na Belgrad w 1999 roku umożliwiły przeprowadzenie natychmiastowej prywatyzacji na obszarze byłej Jugosławii – realizację tego celu zakładano jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Jakkolwiek przesłanki ekonomiczne nie były wyłącznym uzasadnieniem tych wojen, należy pamiętać, że zbiorową traumę skrzętnie wykorzystano jako podstawę do przeprowadzenia ekonomicznej terapii szokowej.

Etap „rozmiękczenia” kraju pod kątem terapii szokowej niekoniecznie musi wiązać się z zastosowaniem przemocy na szeroką skalę. W latach osiemdziesiątych rządy państw Afryki i Ameryki Łacińskiej, uginając się pod ciężarem zadłużenia, stanęły przed prostym wyborem, który jeden z urzędników MFW podsumował następująco: „prywatyzacja albo śmierć”<sup>22</sup>. Wobec kolosalnych długów i hiperinflacji rządy te nie mogły sobie pozwolić na odrzucenie warunków terapii szokowej (licząc, że jej przeprowadzenie pozwoli im uniknąć jeszcze gorszej katastrofy), od których spełnienia uzależnione zostało przydzielenie dalszych kredytów zagranicznych. Z kolei w Azji, gdzie kryzys z lat 1997–1998 spowodował spustoszenia porównywalne tylko z wielkim kryzysem lat trzydziestych, niegdyś dumne „azjatyckie tygrysy” zostały zmuszone do gwałtownego otwarcia swoich gospodarek dla kapitału zagranicznego. „The New York Times” nazwał działania zachodnich inwestorów i przejęcia firm azjatyckich „największą w historii wyprzedają majątku bankruta”<sup>23</sup>. Wiele z tych państw było demokracjami. Tyle tylko, że radykal-

ne reformy ekonomiczne, które tym państwom niejako narzucono, nie zostały przeprowadzone w sposób demokratyczny. Wręcz przeciwnie: friedmaniści doskonale rozumieli, że atmosfera towarzysząca potężnemu kryzysowi stanowi niezbędny pretekst do całkowitego zignorowania preferencji wyrażanych przez wyborców i przekazania uprawnień do decydowania w sprawach gospodarczych w ręce „ekonomicznych technokratów”.

Znane są oczywiście przypadki, kiedy reformy rynkowe zostają przyjęte i przeprowadzone w sposób w pełni demokratyczny. Przykładami polityków, którzy w swoim programie zapowiadali taki właśnie pakiet reform i wygrali demokratyczne wybory, mogą być Ronald Reagan w USA (chyba najbardziej znany przypadek) czy niedawno Nicolas Sarkozy we Francji. Jednakże w obu przypadkach politycy ci natrafili na opór ze strony społeczeństwa i zostali zmuszeni do zrewidowania swoich pierwotnych planów. W efekcie ich programy reform polegały na skromniejszych, częściowych zmianach, nie zaś na kompleksowej przebudowie systemu. O ile bowiem postulowany przez Friedmana model gospodarczy może zostać zrealizowany w warunkach demokratycznych jedynie częściowo, pełna wersja kapitalizmu à la Friedman może zostać zbudowana tylko przez rządy autorytarne. Jeżeli ekonomiczna terapia szokowa ma zostać zaaplikowana bez jakichkolwiek ograniczeń – tak jak w Chile w latach siedemdziesiątych, w Chinach pod koniec lat osiemdziesiątych, w Rosji na początku lat dziewięćdziesiątych czy w USA po zamachach z 11 września – konieczna jest do tego jakaś forma zbiorowego szoku psychicznego. Szoku, który albo tymczasowo zawiesza normalny bieg życia politycznego i praktyki demokratycznego rządzenia, albo też permanentnie usuwa demokrację. Ta ideologiczna krucjata zrodziła się w okresie autorytarnych rządów w Ameryce Południowej. Współcześnie zaś koegzystuje w najlepsze (i to z niemałymi zyskami dla obu stron) z rządami twardej ręki w Rosji i Chinach – dwóch krajach, gdzie doktryna szoku odnosi dziś największe sukcesy.

### Terapia szokowa powraca do domu

Od początku lat siedemdziesiątych friedmanowska rewolucja szkoły chicagowskiej podbijała kolejne kraje na całym świecie, jednakże aż do niedawna jej pełna wersja nie została zastosowana w kraju, w którym przyszła na świat. Z całą pewnością można stwierdzić, że Ronald Reagan osiągnął niemałe sukcesy w aplikowaniu reform ekonomicznych z repertuaru szkoły chicagowskiej. Mimo to w Stanach Zjednoczonych zostały zachowane najważniejsze elementy państwa opiekuńczego, do dziś bowiem przetrwał system ubezpieczeń Social Security oraz państwowe szkolnictwo, z którego

chętnie korzystają rodzice, co, zdaniem Friedmana, świadczy o ich „irracjonalnym przywiązaniu do socjalistycznego systemu”<sup>24</sup>.

Kiedy w 1995 roku republikanie uzyskali kontrolę nad Kongresem, David Frum, urodzony w Kanadzie aktywista związany z Partią Republikańską i późniejszy speechwriter prezydenta George’a W. Busha, był jednym z liderów stronnictwa neokonserwatystów opowiadających się za przeprowadzeniem w USA rewolucji gospodarczej, która miałaby przybrać postać terapii szokowej. Frum wyjaśniał swoją taktykę następująco: „Myślę, że powinniśmy zrobić właśnie tak: zamiast częściowych reform i stopniowego zmniejszania wydatków – mała reforma tutaj, niewielkie cięcia tam – proponuję, aby tylko jednego dnia tego lata wyeliminować aż trzysta programów federalnych, z których każdy kosztuje miliard dolarów lub mniej. Nawet jeśli takie cięcia nie dadzą nam tak dużych oszczędności, na jakich nam zależy, to, o rany, dajemy w ten sposób jasno do zrozumienia, o co nam chodzi. No i cięcia takie można przeprowadzić w zasadzie od ręki”<sup>25</sup>.

Plan Fruma nie został wówczas zrealizowany – USA nie przeżyło swojej terapii szokowej: w Stanach Zjednoczonych nie było wtedy żadnego poważnego kryzysu, który stworzyłby podatny grunt dla radykalnych reform. Wszystko zmieniło się jednak w 2001 roku. Kiedy terroryści zaatakowali 11 września siedziby najważniejszych instytucji w USA, w Białym Domu urzędowało wielu zagorzałych zwolenników Milтона Friedmana i jego recept. Wśród nich znajdował się bardzo bliski przyjaciel sędziwego ekonomisty: Donald Rumsfeld. Kiedy po zamachach w kraju zapanowało zamieszanie, ekipa Busha błyskawicznie przystąpiła do wdrażania swoich planów. Nie chodzi tu oczywiście o żadną teorię spiskową, w myśl której (jak twierdzili niektórzy) administracja Busha miałyby rzekomo celowo zaplanować zamachy i wykorzystać powstały w ich wyniku kryzys do realizacji swoich planów. Należy jednak pamiętać, że wielu prominentnych członków ekipy Busha to weterani wcześniejszych eksperymentów z kapitalizmem kataklizmowym prowadzonych w krajach Ameryki Łacińskiej oraz w Europie Wschodniej. Ludzie ci stanowią część swoistego ruchu wiernych, którzy modlą się o kryzys w ten sam sposób, w jaki o deszcz modlą się farmerzy walczący z suszą czy członkowie chrześcijańsko-syjonistycznych sekt apokaliptycznych starają się wyblagać swoimi modlitwami wniebowzięcie. Kiedy więc od dawna oczekiwana katastrofa w końcu nadchodzi, ludzie ci doskonale zdają sobie sprawę z faktu, że oto wreszcie nastał ich upragniony moment.

Przez trzy ostatnie dekady Milton Friedman i jego zwolennicy z żelazną konsekwencją wykorzystują momenty wstrząsów w poszczególnych krajach – zagraniczne odpowiedniki zamachów z 11 września. Pierwszą udaną próbą zastosowania w praktyce doktryny szoku był zamach stanu Pinocheta

przeprowadzony 11 września 1973 roku. Po 11 września 2001 roku można było natomiast zaobserwować, jak ideologia zrodzona na amerykańskich uniwersytetach i głęboko zakorzeniona w instytucjach tzw. konsensusu waszyngtońskiego w końcu powraca do miejsca swoich narodzin.

Administracja Busha niezwłocznie wykorzystała powszechne w społeczeństwie amerykańskim poczucie strachu wywołane atakami terrorystycznymi i nie tylko rozpoczęła „wojnę z terroryzmem”, ale również zadbała o to, aby ta konfrontacja z terrorystami była jak najbardziej lukratywnym przedsięwzięciem. Po zamachach z 11 września Waszyngton włożył wiele wysiłku w to, aby nowo powstała gałąź przemysłu mogła kwitnąć w najlepsze i tchnąć przy tym nieco życia w kulejącą gospodarkę amerykańską. Tę nową branżę można określić mianem kompleksu kapitalizmu kataklizmowego. Jego macki zdają się sięgać znacznie dalej niż w przypadku kompleksu militarno-przemysłowego, przed którym ostrzegał w mowie kończącej swą prezydenturę Dwight Eisenhower. Tym razem mamy do czynienia z globalną wojną toczoną na wszystkich frontach przez prywatne firmy, które za swój wkład w wojnę z terroryzmem otrzymują pieniądze z budżetu federalnego. Uzasadnieniem dla działań tychże przedsiębiorstw ma być zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom USA wewnątrz kraju, jak również eliminacja wszelkiego „zła” za granicą, co daje tym firmom niemalże nieograniczony mandat do działania. W ciągu zaledwie kilku lat prywatne firmy związane z tym kompleksem nie tylko włączyły się w działania w ramach wojny z terroryzmem, ale zaczęły także uczestniczyć w operacjach pokojowych. Coraz częściej biorą na siebie odpowiedzialność za zapewnianie bezpieczeństwa w miastach. Stały się również główną jednostką reagowania kryzysowego w przypadku katastrof naturalnych. Nadrzędnym celem koncernów wchodzących w skład tego kompleksu jest przeniesienie modelu państwa działającego według mechanizmów rynkowych, tak szybko upowszechniającego się w warunkach kryzysowych, na codzienne funkcjonowanie państwa. Mówiąc prościej: celem jest prywatyzacja rządu.

Aby ułatwić kompleksowi kapitalizmu kataklizmowego rozkręcenie swojej działalności, administracja Busha dokonała outsourcingu (bez jakiegokolwiek debaty publicznej) wielu kluczowych funkcji, które zwykle pełnił rząd: od zapewniania żołnierzom opieki zdrowotnej, poprzez prowadzenie przesłuchań pojmanych więźniów, aż po pozyskiwanie i eksplorację danych dotyczących obywateli USA. W tej niekończącej się wojnie zasadniczej transformacji podlega rola rządu. Państwo przestaje być jedynie administratorem zarządzającym siecią podwykonawców, przejmuje natomiast rolę inwestora dysponującego kapitałem wysokiego ryzyka, który nie tylko zapewnia kompleksowi kapitał załączkowy, ale również staje się największym odbiorcą usług

świadczonej przez firmy wchodzące w jego skład. Żeby zrozumieć, z jak istotną zmianą mamy do czynienia, wystarczy przytoczyć w tym miejscu pewne dane statystyczne. W samym tylko 2003 roku rząd amerykański zawarł 3512 kontraktów z prywatnymi firmami, które w ramach podpisanych umów mają świadczyć usługi związane z zapewnianiem bezpieczeństwa. W ciągu dwudziestu dwóch miesięcy (do sierpnia 2006 roku) Departament Bezpieczeństwa Krajowego zawarł ponad 115 000 umów tego typu<sup>26</sup>. O ile przed zamachami z 11 września 2001 roku kompleks kapitalizmu kataklizmowego miał jedynie marginalne znaczenie ekonomiczne, to obecnie sam tylko przemysł zajmujący się „bezpieczeństwem krajowym” wart jest ponad 200 miliardów dolarów<sup>27</sup>. W 2006 roku wydatki rządu amerykańskiego związane z bezpieczeństwem wewnętrznym wynosiły 545 dolarów w przeliczeniu na jedno gospodarstwo domowe<sup>28</sup>.

A to przecież jedynie krajowy front wojny z terroryzmem. Prawdziwe pieniądze zarobić można przy okazji wojen prowadzonych przez USA za granicą. Beneficjentami polityki USA nie są już tylko producenci sprzętu wojskowego (choć dzięki wojnie w Iraku koncerny zbrojeniowe zanotowały rekordowe zyski). Dzisiaj usługi związane z zapewnieniem wszechstronnej obsługi armii amerykańskiej stały się jedną z najszybciej rozwijających się gałęzi gospodarki USA<sup>29</sup>. „Dwa dowolne kraje, w których działają restauracje McDonald’s, nigdy nie prowadziły ze sobą wojny” – dziarsko obwieszczał w grudniu 1996 roku Thomas Friedman, felietonista „The New York Timesa”<sup>30</sup>. Teoria ta została obalona nieco ponad dwa lata później. Co więcej, prowadzenie wojny w trybie for profit stało się na tyle prosperującym biznesem, że armia amerykańska, dokonując inwazji na inny kraj, może teraz liczyć na obsługę ze strony Burger Kinga czy Pizzy Hut. Firmy te zawierają z Pentagonem umowy, dzięki którym mogą świadczyć usługi dla żołnierzy amerykańskich rozlokowanych w bazach od Iraku aż po „minimiasteczko” w zatoce Guantánamo.

Kolejną szybko rozwijającą się branżą kompleksu kapitalizmu kataklizmowego jest pomoc humanitarna oraz odbudowa ze zniszczeń. Poligonem doświadczalnym był tutaj Irak. Ale pomoc humanitarna oraz odbudowa organizowane w trybie for profit stają się powoli paradygmatem obowiązującym na całym świecie, bez względu na to, czy zniszczenia zostały spowodowane wojną przewencyjną (jak to było w przypadku inwazji Izraela na Liban w 2006 roku), czy też źródłem zniszczeń stał się huragan. Malejące zasoby surowców oraz zachodzące obecnie zmiany klimatyczne zapewniają systematycznie rosnącą liczbę nowych kataklizmów, toteż reagowanie na sytuację kryzysowe jest na tyle atrakcyjnym rynkiem, że organizacje typu non profit są z niego sukcesywnie wypierane przez prywatne firmy. Dla-

czego niby budową szkół miałby zajmować się UNICEF, skoro równie dobrze zadanie to można powierzyć koncernowi Bechtel, jednej z największych firm inżynierskich w USA? Po co umieszczać ludzi uciekających z Missisipi przed powodzią w subsydiowanych przez państwo wolnych mieszkaniach, skoro mogą oni zamieszkać tymczasowo na jednym ze statków linii żeglujowej Carnival? Czy warto wysłać do Darfuru siły pokojowe ONZ, kiedy akurat prywatne firmy ochroniarskie, takie jak Blackwater, poszukują nowych klientów? Na tym właśnie polega różnica pomiędzy stanem przed i po 11 września. Wcześniej wojny i klęski naturalne stwarzały szansę na zarobienie sporej ilości pieniędzy dla firm z dość wąskiego sektora gospodarki. Na zyski liczyć mogli na przykład producenci myśliwców lub firmy, które zajmują się odbudową zbombardowanych mostów. Wojny miały też swój określony cel ekonomiczny: miały służyć otwieraniu rynków w państwach, które dotychczas pozostawały wyłączone z obrotu międzynarodowego, oraz w okresie powojennym przyczyniały się do boomu gospodarczego. Teraz jednak wojny oraz działania zwalczające skutki kataklizmów zostały do tego stopnia sprywatyzowane, że same dla siebie stały się nowym rynkiem. Nie trzeba już czekać na boom gospodarczy po zakończeniu wojny – środek stał się celem.

Takie iście postmodernistyczne podejście ma pewną zaletę: z czysto biznesowego punktu widzenia na niepowodzenie nie ma tutaj po prostu miejsca. Jak zauważył pewien analityk rynkowy, komentując wyjątkowo udany (pod względem zysków) kwartał dla firmy Halliburton (działającej w branży usług energetycznych): „Wojna w Iraku okazała się dla nas jeszcze większym sukcesem, niż pierwotnie zakładaliśmy”<sup>31</sup>. Zdanie to zostało wypowiedziane w październiku 2006 roku. Był to, jak do tej pory, najbardziej krwawy miesiąc w całej historii tej wojny – zginęło wówczas 3709 irackich cywili<sup>32</sup>. Ofiary wśród ludności cywilnej Iraku nie zrobiły większego wrażenia na udziałowcach firmy Halliburton, skoro ich korporacja zarobiła na tej wojnie około 20 miliardów dolarów<sup>33</sup>.

Handel bronią, prywatni żołnierze, odbudowa w trybie for profit oraz firmy zajmujące się bezpieczeństwem wewnętrznym – tak oto wygląda zrodzona w chaosie, jaki zapanował po zamachach z 11 września i w wyniku specyficznej terapii szokowej zaaplikowanej przez administrację Busha, New Economy w dobie wojny z terroryzmem. Nowo powstały kompleks kapitalizmu kataklizmowego narodził się za rządów George’a Busha, ale obecnie zaczyna funkcjonować w pełni autonomicznie, niezależnie od tego, kto akurat zasiada w Białym Domu. Wpływy i pozycja tego kompleksu będą utrzymywać się tak długo, aż forsowana przez firmy wchodzące w jego skład hegemoniczna ideologia zostanie zidentyfikowana, wyizolowana i podważona.

W kompleksie tym dominują oczywiście amerykańskie firmy, ale ma on charakter globalny. I tak brytyjskie firmy z chęcią dzielą się swoim doświadczeniem w nadzorze z użyciem wszędobylskich kamer, izraelskie firmy oferują swoje usługi w zakresie budowania nafaszerowanych wysokimi technologiami murów oraz ogrodzeń, natomiast kanadyjski przemysł drzewny skłonny jest sprzedawać gotowe, w pełni wykończone drewniane domki po cenach wielokrotnie wyższych od tych, które mogliby z powodzeniem dostarczać lokalni producenci. I tak dalej. „Nie sądzę, by ktokolwiek dotychczas uważał odbudowę po kataklizmach za formę rynku budowlanego – zauważył Ken Baker, dyrektor generalny kanadyjskiego stowarzyszenia firm przemysłu leśnego. – Na dłuższą metę to doskonała strategia dywersyfikacji”<sup>34</sup>.

Pod względem rozmiarów kompleks kapitalizmu kataklizmowego można porównywać z „rynkami wschodzącymi” oraz branżą informatyczną z okresu boomu w latach dziewięćdziesiątych. Jak twierdzą znawcy rynku katastrof, podpisywane obecnie umowy są jeszcze bardziej lukratywne niż kontrakty, jakie zwykło się zawierać za najlepszych dni boomu internetowo-giełdowego. Wygląda na to, że kompleks kapitalizmu kataklizmowego podtrzymał gospodarczą prosperity już po pęknięciu poprzedniej bańki spekulacyjnej. W połączeniu z gigantycznymi zyskami, jakie notuje przemysł ubezpieczeniowy (szacuje się, że w samych tylko Stanach Zjednoczonych zyski firm ubezpieczeniowych wynosiły w 2006 roku 60 miliardów dolarów), jak również z rekordowymi zyskami przemysłu naftowego (tutaj zyski zwiększają się wraz z każdym kryzysem), gospodarka czerpiąca zysk z katastrof (*disaster economy*) pozwoliła globalnej gospodarce uniknąć głębokiej recesji, jaka groziła światu jeszcze w przededniu zamachów z 11 września<sup>35</sup>.

Podjęwając próbę zrelacjonowania pełnej historii ideologicznej krucjaty, której kulminacją stała się szybko postępująca prywatyzacja wojen oraz kataklizmów, stale borykałam się z jednym problemem: sama ideologia to prawdziwy kameleon, stale zmieniający nazwy i tożsamość. Milton Friedman zwykle nazywał siebie „liberałem”, ale dla jego zwolenników w USA „liberalizm” za bardzo kojarzy się z wysokimi podatkami oraz ruchem hipisów. Dlatego też amerykańscy zwolennicy Friedmana zwykle określali się jako „konserwatyści”, „ekonomiści klasyczni”, „wolnorynkowcy”, a od lat osiemdziesiątych także jako zwolennicy „reaganomiki” czy „leseferyzmu”. Prawie na całym świecie ideologia ta znana jest pod nazwą „neoliberalizmu”, choć często używa się też nazw „wolny handel” czy, po prostu, „globalizacja”. Dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych sieć prawicowych think-tanków, z którymi Friedman pozostawał za życia ściśle związany, a wśród których najważniejszą rolę odgrywają Heritage Foundation, Cato Institute czy Ameri-

can Enterprise Institute, ochrzciła tę doktrynę mianem „neokonserwatyzmu”, czyli ideologią zakładającą pełne wykorzystanie siły militarnej USA dla realizacji korporacyjnych celów.

Wszystkie wcielenia tejże ideologii łączy ten sam trzon w postaci „świętej trójcy” polityki gospodarczej obejmującej: likwidację sfery publicznej, pełną swobodę działania dla korporacji oraz redukcję wydatków socjalnych do absolutnego minimum. Nie sądzę, aby którakolwiek ze wspomnianych nazw w pełni oddawała sens tej ideologii. Milton Friedman starał się przedstawiać inspirowany przez siebie ruch jako wysiłek na rzecz uwolnienia wolnego rynku z więzów narzuconych przez państwo. Jednakże faktyczne skutki rewolucji szkoły chicagowskiej w tych krajach, gdzie została ona konsekwentnie przeprowadzona, to nieco inna historia. W każdym państwie, które w ciągu trzech minionych dekad poddano terapii szokowej, scenariusz jest w zasadzie ten sam: zawsze wyłania się potężny sojusz pomiędzy garstką największych korporacji a klasą najzamożniejszych polityków, przy czym granice pomiędzy tymi grupami są raczej płynne, toteż członkowie obu tych formacji mogą łatwo zmieniać przynależność. W Rosji w skład tego sojuszu wchodzi grupa miliarderów nazwanych oligarchami. W Chinach są to „księżęta”, w Chile – *piranhas*, a w USA „pionierzy” kampanii Busha i Cheney’a. Postulat Friedmana wyzwolenia rynku spod władzy państwa nie jest tutaj w ogóle realizowany – mamy bowiem do czynienia ze zlewaniem się elit biznesowych i politycznych w jedną grupę społeczną, w obrębie której handluje się przywilejami i dostępem do najważniejszych w danym kraju zasobów, będących dotychczas pod kontrolą sektora publicznego. W Rosji chodzi o ropę naftową. W Chinach celem jest uzyskanie kontroli nad kolektywizowaną ziemią. W USA elity korporacyjno-polityczne handlują między sobą kontraktami (przyznawanymi bez publicznych przetargów) na odbudowę powojennego Iraku.

Ani zatem „liberalizm”, ani „konserwatyzm”, ani tym bardziej „kapitalizm” nie są właściwą nazwą dla systemu, którego celem jest zatarcie granicy pomiędzy światem wielkiego biznesu a najważniejszymi kręgami rządowymi. Ja system ten nazywam „korporacjonizmem”. Do jego głównych cech należy zaliczyć: transfer znacznej części publicznych zasobów w prywatne ręce korporacji, czemu nieradko towarzyszy zadłużenie państwa na olbrzymią skalę; stale powiększająca się przepaść w dochodach pomiędzy bażecznie bogatą elitą społeczeństwa i resztą zbędnych, ubogich obywateli oraz agresywna retoryka nacjonalistyczna, która służy usprawiedliwianiu ciągle rosnących wydatków na bezpieczeństwo. Z punktu widzenia korporacyjnych elit, które są głównym beneficjentem powstałego systemu, trudno wyobrazić sobie bardziej korzystny sposób organizowania społeczeństwa.

Ale dla większości obywateli, którzy z systemu tego są wykluczeni, państwo korporacyjne ma wiele wad. To wyjaśnia stale rosnącą rolę agresywnego nadzoru nad społeczeństwem (także w tej dziedzinie dochodzi do powstania sojuszu świata polityki i biznesu, w obrębie którego handluje się przywilejami oraz kontraktami), masowe aresztowania, ograniczenia swobód obywatelskich, a często także (choć nie zawsze) tortury.

### Tortury jako metafora

Tortury stały się cichym sojusznikiem obejmującej cały świat wolnorynkowej krucjaty: od Chile przez Chiny, aż po Irak. Ale tortury nie są tylko narzędziem, za pomocą którego narzuca się społeczeństwu niepopularne rozwiązania i pacyfikuje opornych. Tortury to metafora logiki, jaką rządzi się doktryna szoku.

Tortury, czy jak określa to CIA: „przesłuchania z zastosowaniem przymusu”, to zestaw technik, za pomocą których więźniów wpędza się w stan głębokiej dezorientacji oraz poddaje wstrząsom, aby w ten sposób zmusić ich do pójsicia na ustępstwa wbrew własnej woli. Logikę tortur najlepiej wyjaśniają dwa podręczniki prowadzenia przesłuchań autorstwa CIA. Książki te zostały odtajnione pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Ich autorzy wyjaśniają, że sposobem na złamanie „opornego źródła” jest doprowadzenie do gwałtownej utraty przez więźnia zdolności do normalnego postrzegania i rozumienia otaczającego go świata<sup>36</sup>. W tym celu należy najpierw odciąć organizm więźnia od jakichkolwiek zewnętrznych bodźców (za pomocą zatyczek do uszu, kapturem, kajdanek i całkowitej izolacji), następnie zaś zaatakować organizm za pomocą przytłaczającej liczby impulsów (stroboskopowe światło, rycząca muzyka, bicie, elektrowstrząsy).

Takie „zmiękczenie” więźnia ma na celu wywołanie w jego umyśle swoistego huraganu – przesłuchiwanym przechodzą proces regresji połączonej z poczuciem strachu, co oznacza, że więźniowie nie są w stanie myśleć racjonalnie i postępować zgodnie z własnym interesem. Właśnie w stanie szoku przesłuchiwanym dadzą swoim oprawcom to, czego ci oczekują: informacje, zeznania, odcięcie się od dotychczasowych poglądów. Jeden z podręczników CIA dokładnie opisuje tę technikę: „W określonym przedziale czasowym – niekiedy bardzo, bardzo krótkim – dochodzi do swoistego zawieszenia czynności życiowych, psychicznego szoku czy nawet umysłowego paraliżu. Powodem takiego załamania jest traumatyczne (lub zbliżone do traumatycznego) doświadczenie, które w krótkiej chwili niszczy dotychczasowy obraz świata przesłuchiwanego, jak również dekonstruuje wyobrażenie na temat jego samego w tymże świecie. Doświadczeni śledczy potrafią rozpoznać ten efekt,

kiedy on wystąpi u przesłuchiwanego, i wiedzą, że w tym momencie źródło staje się o wiele bardziej podatne na sugestie, o wiele bardziej skłonne do współpracy niż jeszcze chwilę przed doznaniem szoku”<sup>37</sup>.

Proces ten dokładnie naśladuje sama doktryna szoku, tyle tylko, że tym razem to, co tortury robią z jednostką w celi więziennej, próbuje się odtworzyć na skalę masową. Najlepszym przykładem może być tutaj szok, jakim dla Amerykanów były zamachy z 11 września. Tego dnia świat znany milionom ludzi został brutalnie zniszczony. Tak rozpoczął się okres dezorientacji i regresji, które to zjawisko administracja Busha skrupulatnie wykorzystwała. Nagle okazało się, że teraz żyjemy w „roku zerowym”, a całą naszą wiedzę na temat dotychczasowego świata można zdyskredytować jako „przestarzałe myślenie, jeszcze sprzed 11 września 2001”. Zważywszy na to, że Amerykanie nigdy nie byli zbyt mocni z historii, całkiem łatwo dało się potraktować obywateli USA jako „czystą kartkę, na której zapisać można najnowsze i najpiękniejsze słowa” – jak mawiał o swoim narodzie Mao Zedong<sup>38</sup>. Nagle na scenie pojawiła się cała armia nowych ekspertów, gotowa zapisywać „najnowsze i najpiękniejsze słowa” w naszych umysłach, które na skutek traumatycznego doświadczenia zamieniły się w chłonec wszystko gąbki. W umysłach Amerykanów zapisano nowe terminy: „zderzenie cywilizacji”, „oś zła”, „islamofaszizm”, „bezpieczeństwo wewnętrzne”. I kiedy uwagę większości społeczeństwa zaprzętały toczące się nowe, brutalne wojny kulturowe, administracja Busha wykorzystwała zamęt do osiągnięcia czegoś, o czym przed 11 września 2001 roku mogła tylko pomarzyć: utworzenia korporacyjnego kompleksu bezpieczeństwa oraz rozpoczęcia prowadzenia za granicą sprywatyzowanych wojen.

Tak właśnie działa doktryna szoku. Najpierw następuje pierwszy szok (zamach stanu, atak terrorystyczny, załamanie rynku, wojna, tsunami, huragan), w wyniku którego całe społeczeństwo popada w stan zbiorowego wstrząsu. Spadające bomby, zamachy terrorystyczne, gwałtowne wiatry „rozmiękcza” całe społeczeństwa w ten sposób, w jaki rycząca muzyka czy zadawane ciosy pomagają w trakcie tortur „zmiękczać” więźniów. Niczym sterroryzowany więzień, który ujawnia nazwiska swoich towarzyszy i wypiera się swoich poglądów, społeczeństwa poddane wstrząsom godzą się na oddanie tego, co w normalnych warunkach starałyby się za wszelką cenę chronić. Jamar Perry i inni mieszkańcy Nowego Orleanu ewakuowani do schroniska w Baton Rouge zostali zmuszeni do oddania mieszkań komunalnych oraz państwowych szkół. Po tsunami na Sri Lance tamtejsi rybacy zostali zmuszeni do oddania w ręce hotelarzy bezcennych plaż. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, również Irakijczycy zostaliby za pomocą operacji wojskowej „Szok i przerażenie” spacyfikowani do tego stopnia, że zgodziliby się na



nieskrępowany wolny rynek idzie w parze z demokracją. Postaram się dowieść, że jest dokładnie na odwrót. Wszędzie, gdzie ta fundamentalistyczna wersja kapitalizmu doczekała się realizacji, towarzyszyły jej najbardziej drastyczne formy przemocy. Brutalne metody stosowano zarówno wobec całych wspólnot politycznych, jak i wobec niezliczonej liczby pojedynczych osób. Historię współczesnego kapitalizmu, a ściślej rzecz ujmując historię triumfu korporacjonizmu, piszą kolejne szoki.

Stawka w tej grze jest bardzo wysoka. Oto bowiem korporacyjno-polityczny sojusz stara się pokonać ostatnie już granice na świecie. Po pierwsze, dokonuje się otwarcia dotychczas autarkicznych gospodarek naftowych w krajach arabskich. Po drugie, celem krucjaty korporacyjnej stają się te sektory gospodarki, które w państwach zachodnich od dawna miały status pozarynkowy – chodzi o reagowanie na sytuacje kryzysowe oraz werbowanie żołnierzy i wystawianie armii. Nikt nawet nie próbuje szukać poparcia społecznego dla planów prywatyzacji tych kluczowych funkcji rządu ani w USA, ani za granicą, toteż nieunikniona staje się kolejna fala przemocy oraz coraz większych katastrof. Zważywszy jednak na fakt, że w oficjalnej wersji historii triumfu wolnego rynku zupełnie pomija się rolę kryzysów i wstrząsów, radykalne metody działania, których staliśmy się świadkami w Iraku oraz w Nowym Orleanie, często zupełnie błędnie uznaje się za wyraz niekompetencji lub nepotyzmu administracji Busha. W rzeczywistości działalność Busha to wyjątkowo brutalna i kreatywna kulminacja trwającej już pięćdziesiąt lat krucjaty na rzecz uwolnienia korporacji z dotychczasowych więzów.

Za każdym razem, kiedy za zbrodnie popełnione przez wyznawców danego światopoglądu próbuje się przypisywać winę samej ideologii, należy postępować bardzo, bardzo ostrożnie. Niezwykle łatwo można bowiem ogłosić, że ci, z którymi się nie zgadzamy, nie tylko nie mają racji, ale również są ludobójcami, faszystami i tyranami. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że niektóre ideologie są wyjątkowo groźne dla społeczeństwa i powinny być jak najbardziej uznawane za niebezpieczne. Są to przede wszystkim te doktryny, które zawierają elementy fundamentalistyczne i nie mogą współistnieć z innymi systemami wartości. Wyznawcy takich ideologii odrzucają pluralizm i domagają się dla siebie wyłącznego prawa do pełnej realizacji swojej wizji systemu doskonałego. Istniejący świat musi zostać zniszczony, aby dopiero na jego gruzach można było stworzyć czystą wersję ich utopii. Ten sposób rozumowania pozostaje mocno zakorzeniony w biblijnych opowieściach o wielkich powodziach i wielkich pożarach. I niezmiennie prowadzić musi do aktów przemocy. Te ideologie, które pragną potraktować społeczeństwo jako czystą kartkę (przy czym ten stan „czystości” można osiągnąć jedynie poprzez kataklizm), należy uznać za zagrożenie.

Zazwyczaj postulaty wyniszczenia konkretnych grup społecznych i ich kultur w celu urzeczywistnienia wizji świata doskonałego przypisuje się radykalnym doktrynom religijnym i rasistowskim. Upadek Związku Radzieckiego doprowadził jednakże do uświadomienia sobie przez opinię publiczną skali zbrodni popełnionych w imię komunizmu. Radzieckie archiwa stały się otworem dla badaczy historii, którzy mogli wreszcie ustalić liczbę ofiar: więźniów zmarłych w gułagach, ludzi zgłodzonych na śmierć w trakcie wymuszonego głodu czy osób zamordowanych na polecenie reżimu. Proces ten wywołał na całym świecie burzliwą debatę. Dyskutowano, w jakim stopniu za zbrodnie te odpowiedzialność ponosi sama ideologia, a w jakim zaś stopniu należy winić za „wypaczenia” przywódców: Stalina, Ceaușescu, Mao czy Pol Pota.

Stéphane Courtois, jeden z autorów kontrowersyjnego opracowania *Czarna księga komunizmu*, pisał: „Jakkolwiek by się miała komunistyczna doktryna sprzed 1917 roku do praktyki realnego komunizmu [...] bezsprzecznie ten właśnie system wprowadził w życie represję ustrojową, a nawet w paroksyzmie szaleństwa ustanowił terror jako sposób rządzenia. Czy ideologia nie ponosi tu żadnej winy?”<sup>45</sup>. Oczywiście, że ideologia nie jest bez winy. Nie oznacza to wszakże, że wszystkie formy komunistycznych rządów prowadzą do ludobójstwa, jak chcą twierdzić niektórzy wojujący antykomuniści. Doktrynerska, autorytarna i odrzucająca pluralizm interpretacja komunizmu z całą pewnością doprowadziła do stalinowskich czystek czy maoistowskich obozów reedukacyjnych. Autorytarny komunizm pozostaje (i na zawsze powinien pozostać) skażony zbrodniami, jakich dokonywano w tych laboratoriach terroru.

A co ze współczesną krucjatą zmierzającą do liberalizacji globalnych rynków? Wojskowe zamachy stanu, wojny oraz rzezie, które towarzyszą próbom wyniesienia do władzy i podtrzymywania reżimów prowadzących politykę przyjazną dla biznesu i korporacji, nigdy nie były traktowane jako zbrodnie samego kapitalizmu. Zamiast tego uznaje się je za ekscesy nadgorliwych dyktatorów, za gorące fronty zimnej wojny czy też, tak jak obecnie, za element wojny z terroryzmem. Nawet jeśli zdeklarowani przeciwnicy państwa korporacyjnego są systematycznie eliminowani, jak to było w Argentynie w latach siedemdziesiątych czy współcześnie w Iraku, represje usprawiedliwia się jako część brudnej walki, jaką trzeba toczyć z komunizmem czy terroryzmem. Nigdy zaś nie mówi się, że jest to element walki *na rzecz* kapitalizmu w czystej postaci.

Nie twierdzą, jakoby wszystkie formy gospodarki rynkowej wymagały przemocy na masową skalę. Możliwa jest taka postać kapitalizmu, który nie wymaga ani takiej brutalności, ani ideologicznej czystości. Wolny rynek w dziedzinie dóbr konsumpcyjnych jest jak najbardziej do pogodzenia

z państwową służbą zdrowia, państwowym szkolnictwem oraz ze sporym sektorem publicznym (np. należącym do państwa koncernem naftowym). Możliwe jest również wymaganie od korporacji, aby swoim pracownikom płaciły solidne pensje i uznawały prawo pracowników do zakładania związków zawodowych. Można też oczekiwać od rządów opodatkowania i redystrybucji bogactwa, ażeby zredukować drastyczne nierówności typowe dla państwa korporacyjnego. Rynki nie muszą być fundamentalistyczne.

Po wielkim kryzysie John Maynard Keynes zaproponował właśnie taki rodzaj mieszanej, regulowanej gospodarki, zapoczątkowując w ten sposób rewolucję w polityce państwa, która doprowadziła do narodzin Nowego Ładu oraz analogicznych rozwiązań wprowadzanych w wielu państwach na świecie. Ów system kompromisów oraz wzajemnych ograniczeń i równowagi pomiędzy państwem a sektorem prywatnym stał się głównym wrogiem krucjaty zainicjowanej przez Milтона Friedmana. Kонтrewolucja szkoły chicagowskiej krok po kroku, kraj za krajem, miała zniszczyć wszystkie te osiągnięcia. W tym świetle kapitalizm à la Milton Friedman to doktryna mająca wspólną cechę z innymi niebezpiecznymi ideologiami: pragnienie nieosiągalnej czystości i dążenie do stworzenia wzorowego społeczeństwa.

To roszczenie do boskich mocy tworzenia wyjaśnia, dlaczego ideologów wolnego rynku tak bardzo pociągają katastrofy i kryzysy. Rzeczywistość, w której nie panują iście apokaliptyczne warunki, po prostu nie sprzyja realizacji ich pomysłów. Friedmanowska kontrewolucja od trzydziestu pięciu lat napędzana jest pragnieniem tego typu wolności i sposobności do działania, jakie zaoferować może tylko czas kataklizmowych zmian, kiedy wreszcie ludzie – ze swoimi upartymi żądaniami i ciągłym trzymaniem się swoich zwyczajów – przestaną być przeszkodą dla reform, a demokracja staje się praktycznie niemożliwa.

Wyznawcy doktryny szoku są przekonani, że tylko gwałtowne zerwanie z dotychczasowym ładem – powódź, wojna, atak terrorystyczny – może dać im wielkie czyste płótno, o którym marzą. W tych właśnie chwilach, gdy rzeczywistość stanie się plastyczna, a my jesteśmy psychicznie i fizycznie oderwani od naszych korzeni, owi artyści cynicznego pragmatyzmu zakasują rękawy i przystępują do przebudowy świata.

Michał Penkala

A SINEK  
TOLEPANCIA

CZĘŚĆ I

## DWÓCH DOKTORÓW SZOK BADANIA I ROZWÓJ

Wyciśniemy z Ciebie wszystko. A potem wypełnimy Cię naszą własną treścią.

**George Orwell, Rok 1984**

Rewolucja przemysłowa była zaledwie początkiem o wiele bardziej radykalnej i o wiele dalej idącej rewolucji, która jak żadna inna potrafiła rozpałcić umysły fanatyków. Zważywszy jednak na niemalże nieograniczoną liczbę dóbr, rozwiązania dla wszystkich problemów leżały w zasięgu ręki.

**Karl Polanyi, *The Great Transformation***

## ZATRZASKIWANIE DRZWI PRZED HISTORIĄ KRYZYS W POLSCE, MASAKRA W CHINACH

Żyję w Polsce, która jest dziś wolna, i uważam Milтона Friedmana za jednego z głównych intelektualnych architektów wolności mojego kraju.

**Leszek Balcerowicz, były polski minister finansów, listopad 2006<sup>1</sup>**

W twoim żółtku uwalnia się pewna chemia, gdy możesz dziesięciokrotnie pomnożyć swoje pieniądze. To uzależnia.

**William Browder, amerykański menedżer na temat inwestowania w Polsce we wczesnym etapie kapitalizmu<sup>2</sup>**

Z pewnością nie możemy przestać jeść z obawy przed tym, że się zakrzusimy.

**„People's Daily”, oficjalna gazeta państwowa o potrzebie kontynuowania reform wolnorynkowych po masakrze na placu Tiananmen<sup>3</sup>**

Zanim upadek muru berlińskiego stał się ostatecznym symbolem krachu komunizmu, inny obraz niósł nadzieję, że imperium sowieckie nie jest wieczne. To Lech Wałęsa, zwolniony z pracy elektryk z bujnymi włosami i rozczochraną fryzurą, wspinający się na ozdobiony kwiatami i flagami płot w Gdańsku. Ten płot chronił Stocznę im. Lenina i tysiące robotników, którzy zabarykadowali się tam w proteście przeciwko decyzji komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej o podwyżce cen mięsa.

Robotniczy strajk był bezprecedensowym pokazem sprzeciwu wobec kontrolowanego przez Moskwę rządu, który władał Polską od trzydziestu pięciu lat. Nikt nie wiedział, co się stanie: czy Moskwa wyśle czołgi? Czy będą strzelać do robotników i zmuszą ich do powrotu do pracy? Wraz z rozwojem strajku stocznia stawała się strefą demokracji w autorytarnie rządzonym kraju, a robotnicy rozszerzali swoje żądania. Nie chcieli dłużej żyć w sytuacji, w której ich praca jest kontrolowana przez partyjnych aparaczków,

twierdzących, że wypowiadają się w imieniu klasy robotniczej. Chcieli własnego, niezależnego związku zawodowego i prawa do negocjowania, pertraktacji i strajku. Nie czekając na pozwolenie, utworzyli związek zawodowy, który nazwali „Solidarność”<sup>4</sup>. Był rok 1980 i świat zakochał się w „Solidarności” i w jej przywódcy Lechu Wałęsie.

Wałęsa, wówczas człowiek trzydziestosześcioletni, tak dokładnie wyrażał aspiracje polskich robotników, że zdawali się tworzyć duchową jedność. „Jemy ten sam chleb” – krzyczał do mikrofonu w gdańskiej stoczni. Było to odniesienie nie tylko do robotniczych korzeni samego Wałęsy, ale i potężnej roli, jaką w tym pionierskim ruchu odgrywał katolicyzm. Ponieważ działacze partyjni krzywo patrzyli na religię, robotnicy traktowali swoją wiarę jako deklarację odwagi. Wałęsa, stanowiący dynamiczne połączenie męskiej jurności i pobożności, otworzył biuro związku, niosąc drewniany krzyż w jednej ręce i bukiet kwiatów w drugiej. Kiedy podpisywano pierwsze porozumienie pomiędzy „Solidarnością” i rządem, Wałęsa uczynił to „wielkim długopisem z podobizną Jana Pawła II”. Podziw był wzajemny; polski papież powiedział Wałęsie, że modli się za „Solidarność”<sup>5</sup>.

„Solidarność” rozlała się na polskie kopalnie, stocznie i fabryki w nieprawdopodobnym tempie. W ciągu roku miała 10 milionów członków – prawie połowę pracującej populacji w Polsce. Wywalczywszy sobie prawo do negocjacji, „Solidarność” zaczęła stawiać konkretne postulaty: pięciodniowy tydzień pracy zamiast sześciodniowego i większy wpływ na zarządzanie fabrykami. Członkowie „Solidarności”, zmęczeni życiem w kraju, który wynosi na sztandary wyidealizowaną klasę robotniczą, a przy tym wykorzystuje prawdziwych robotników, ujawniali korupcję i brutalność partyjnych funkcjonariuszy, odpowiadających nie przed polskim społeczeństwem, ale przed odległymi i odizolowanymi biurokratami w Moskwie. Całe pragnienie demokracji i samostanowienia, tłumione przez rządy jednopartyjne, skanalizowało się w ruchu „Solidarności”, co zaowocowało masowym odpływem członków z partii komunistycznej.

Moskwa uznała ten ruch za najpoważniejsze jak dotąd zagrożenie dla swojego wschodniego imperium. W Związku Radzieckim opozycja wciąż w przeważającej mierze rekrutowała się z kręgów obrońców praw człowieka, z których wielu sytuowało się na politycznej prawicy. Jednak członków „Solidarności” nie można było łatwo zdyskredytować jako sługusów kapitalizmu – byli robotnikami z młotami w rękach, a ich twarze pokrywał węglowy pył, ludźmi, którzy zgodnie z marksistowską teorią powinni być partyjną bazą.

<sup>4</sup> Jednym z popularnych haseł „Solidarności” w 1980 roku było: „Socjalizm – TAK, wypaczenia – NIE”.

Jeszcze groźniejsze było to, że wizja „Solidarności” obejmowała to wszystko, czym partia nie była: „Solidarność” to demokracja, podczas gdy partia do autorytaryzm; rozproszenie kontra centralizacja; uczestnictwo kontra biurokracja. A jej 10 milionów członków miało dość siły, by sparaliżować polską gospodarkę. Jak śmiał się Wałęsa, „Solidarność” mogła przegrać polityczną bitwę, „ale nie są w stanie zmusić nas do pracy. Jeżeli będą chcieli, żebyśmy budowali czołgi, my będziemy budowali tramwaje. A jeżeli będziemy chcieli, to zbudujemy ciężarówki, które jeżdżą tylko do tyłu. Wiemy, jak pokonać system, bo jesteśmy jego ulubieńcami”.

Demokratyczne credo „Solidarności” zainspirowało do buntu nawet członków partii. „Kiedyś byłem tak naiwny, że sądziłem, iż to kilku złych ludzi jest odpowiedzialnych za błędy partii – powiedział jednej z polskich gazet Marian Arendt, członek Komitetu Centralnego PZPR. – Dziś nie mam już takich złudzeń. Błąd tkwi w całym naszym aparacie, w całej naszej strukturze”<sup>6</sup>.

We wrześniu 1981 roku członkowie „Solidarności” byli gotowi przenieść swój ruch na kolejny poziom. Dziewięciuset polskich robotników zebrało się ponownie w Gdańsku na I Zjeździe związku. Tam „Solidarność” przerodziła się w ruch rewolucyjny, z aspiracjami przejęcia władzy w kraju i własnym, alternatywnym programem politycznym i ekonomicznym dla Polski. Plan „Solidarności” głosił: „Domagamy się samorządności i demokratycznych reform na każdym poziomie zarządzania i nowego systemu socjoekonomicznego, który łączyłby elementy gospodarki planowej, samorządu i rynku”. Kluczowym elementem była radykalna wizja, według której wielkie państwowe przedsiębiorstwa, zatrudniające miliony członków „Solidarności”, miały wyzwoić się spod kontroli rządu i stać się demokratycznymi kooperatywami robotników. „Przedsiębiorstwo socjalistyczne – czytamy w programie – powinno być podstawową jednostką organizacyjną w gospodarce. Powinno być ono kontrolowane przez radę robotniczą, reprezentującą kolektyw i winno być operacyjnie kierowane przez dyrektora, wyłonionego w drodze konkursu i zatwierdzonego przez radę”<sup>7</sup>. Wałęsa sprzeciwiał się temu żądaniu, obawiając się, że będzie ono stanowiło takie wyzwanie dla partyjnej kontroli, iż spowoduje konfrontację. Inni argumentowali, że ruch potrzebuje celu, pozytywnej nadziei na przyszłość, a nie jedynie wroga. Wałęsa przegrał ten spór i wspomniany program ekonomiczny stał się oficjalną linią polityczną „Solidarności”.

Obawy Wałęsy przed konfrontacją okazały się uzasadnione. Rosnące ambicje „Solidarności” niepokoiły Moskwę i doprowadzały ją do wściekłości. Znajdujący się pod silną presją polski przywódca, generał Wojciech Jaruzelski, wprowadził w grudniu 1981 roku stan wojenny. Zaśnieżone fabryki i kopalnie otoczyły czołgi, a tysiące członków „Solidarności”, na czele z Wałęsą, aresztowano. Jak donosił „Times”, „żołnierze i milicja użyli siły, by stłumić robotnicze

protesty. W jednej z katowickich kopalni, gdzie górnicy bronili się przy użyciu siekier i łomów, zginęło 9 osób, a setki zostało rannych<sup>8</sup>.

„Solidarność” musiała zejść do podziemia, ale przez osiem lat obowiązywania państwa policyjnego [4 czerwca 1989 roku odbyły się pierwsze wybory parlamentarne z udziałem opozycji], jej legenda tylko przybrała na sile. W 1983 roku Wałęsę przyznano Pokojową Nagrodę Nobla, mimo że jego swoboda działania była wciąż ograniczona i nie mógł osobiście odebrać nagrody. „Krzeseł laureata Pokojowej Nagrody jest puste – powiedział przedstawiciel Komitetu Noblowskiego podczas ceremonii. – Tym uważniej wsłuchajmy się w milczące przemówienie płynące z tego miejsca”.

To puste miejsce było trafną metaforą, ponieważ wówczas każdy widział w „Solidarności” to, co chciał: Komitet Noblowski człowieka, który „nie używał innej broni, jak tylko pokojowy strajk”<sup>9</sup>. Lewica widziała w tym odkupienie, wersję socjalizmu nieskażoną przez zbrodnie Stalina czy Mao. Prawica uważała „Solidarność” za dowód, że państwo komunistyczne nawet na umiarkowaną formę sprzeciwu reaguje brutalną siłą. Kościół katolicki dostrzegł sojusznika w walce z komunistycznym ateizmem. A Margaret Thatcher i Ronald Reagan dostrzegli szczelinę w sowieckim panczeru, mimo że „Solidarność” walczyła o dokładnie te same ideały, które oboje przywódców próbowało wypłenić w swoich krajach. Im dłużej „Solidarność” była w podziemiu, tym bardziej upowszechniał się jej mit.

W 1988 roku terror osłabł i przez Polskę znów przetoczyła się fala strajków. Tym razem w sytuacji, gdy gospodarka znajdowała się w oplakany stanie, a w Moskwie rządził już umiarkowany Michaił Gorbaczow, komuniści poddali się. Zalegalizowali „Solidarność” i zgodzili się na przyspieszone wybory. „Solidarność” podzieliła się: odrodził się związek zawodowy, a jednocześnie powstał Komitet Obywatelski „Solidarność”, który miał wziąć udział w wyborach. Obie struktury „Solidarności” były nierozdzielnie połączone; liderzy „Solidarności” stali się kandydatami w wyborach, a ponieważ program wyborczy był dość ogólny, jedynym wyróżnikiem tego, co oferuje „Solidarność”, były założenia ekonomiczne związku. Sam Wałęsa nie startował, wybierając rolę przywódcy skrzydła związkowego, ale był twarzą kampanii, która toczyła się pod hasłem „Z nami bezpiecznie!”<sup>10</sup>. Wyniki wyborów [4 czerwca 1989 roku] były klęską komunistów i triumfem „Solidarności”, która na 261 miejsc w parlamencie [podlegających demokratycznej procedurze wyborczej: 161 w Sejmie na 460 mandatów poselskich i 100 w senacie] uzyskała 260<sup>\*</sup>.

\* Wybory, choć przełomowe, wciąż nie były do końca wolne; od początku partia komunistyczna miała zapewnionych 65 procent miejsc w Sejmie, niższej izbie parlamentu, a „Solidarność” mogła walczyć jedynie o pozostałe mandaty [w tym o wszystkie mandaty w Senacie]. Mimo to zwycięstwo było tak przygniatające, że „Solidarność” de facto przejęła władzę.

Wałęsa, dokonując zakulisowych manewrów, obsadził na stanowisku premiera Tadeusza Mazowieckiego. Nie miał on charyzmy Wałęsy, ale jako redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” uważany był za czołowego intelektualistę ruchu.

### Szok władzy

Jak pokazał przykład Ameryki Łacińskiej, autorytarne reżimy mają zwyczaj opowiadania się za demokracją dokładnie w tym momencie, w którym ich ekonomiczne projekty są bliskie implozji. Polska nie była wyjątkiem. Komuniści psuli gospodarkę od dziesięcioleci, popełniając kosztowne i fatalne w skutkach błędy jeden po drugim. Tak nadszedł moment ostatecznego upadku. „Na nasze nieszczęście wygraliśmy!” – tak brzmiała słynna (i prorocza) wypowiedź Wałęsy. Kiedy „Solidarność” objęła władzę, zadłużenie kraju wynosiło 40 miliardów dolarów, inflacja sięgała 600 procent, pojawiały się poważne braki w zaopatrzeniu w żywność i kwitł czarny rynek. Wiele fabryk produkowało wyroby, na które nie było zbytu<sup>11</sup>. Dla Polaków oznaczało to wyjątkowe bolesne wejście w demokrację. Wolność wreszcie nadeszła, ale mało kto miał czas i ochotę się nią cieszyć, bo pensje były bardzo niskie. Ludzie całe dni spędzali w kolejkach po mąkę i masło, jeżeli akurat w danym tygodniu były dostawy do sklepów.

Przez całe lato po swoim wyborczym triumfie „solidarnościowy” rząd był sparaliżowany brakiem decyzji. Tempo upadku starego reżimu i nieoczekiwany wynik wyborów był szokiem dla samych zwycięzców; w ciągu kilku miesięcy działacze „Solidarności”, którzy ukrywali się przed tajną policją, stali się pracodawcami tych samych agentów. Dodatkowy szok przeżyli, odkrywając, że nie bardzo mają z czego wypłacić im pensje. Ruch, zamiast budować postkomunistyczną gospodarkę, o której marzył, stanął przed dużo pilniejszym zadaniem uniknięcia kompletnego krachu i masowego głodu.

Liderzy „Solidarności” wiedzieli, że chcą skończyć z duszącym uściskiem, jakim państwo kępowało gospodarkę, ale nie byli do końca pewni, czym chcą go zastąpić. Dla szeregowych członków związku była to szansa, by realizować program ekonomiczny „Solidarności”: gdyby państwowe fabryki udało się przekształcić w robotnicze kooperatywy, istniała szansa, że znów staną się one rentowne – zarządzanie przez pracowników mogło być bardziej skuteczne, szczególnie bez dodatkowych kosztów generowanych przez partyjnych biurokratów. Inni opowiadali się za tym samym programem stopniowej transformacji, jakie wówczas w Moskwie prezentował Gorbaczow – powolne rozszerzanie obszarów, na których obowiązywały rynkowe zasady podaży i popytu (więcej legalnych sklepów i rynków), w połączeniu z silnym sektorem publicznym opartym na skandynawskim modelu socjaldemokratycznym.

Jednak podobnie jak w przypadku Ameryki Łacińskiej, zanim cokolwiek można było zrobić, Polska potrzebowała umorzenia długów i pewnej natychmiastowej pomocy, by wydostać się z kryzysu. W teorii takie jest podstawowe zadanie MFW: zapewnienie funduszy stabilizacyjnych w celu zapobieżenia katastrofom ekonomicznym. Jeżeli jakikolwiek rząd zasługiwał na taką linię ratunkową, to niewątpliwie ten, kierowany przez „Solidarność”; pierwszy od czterech dekad w bloku wschodnim, który zdołał pokonać komunistyczny reżim. Z pewnością po wszystkich próbach sprzeciwu, podejmowanych w czasie zimnej wojny za żelazną kurtyną, nowi polscy przywódcy mogli liczyć na jakąś pomoc.

Zadna taka oferta nie nadeszła. Znajdujące się pod kontrolą ekonomistów ze szkoły chicagowskiej MFW i amerykański Departament Skarbu postrzegały problemy Polski poprzez pryzmat doktryny szoku. Ekonomiczny krach i ogromne zadłużenie, w połączeniu z dezorientacją spowodowaną szybką zmianą systemu sprawiły, że Polska była doskonałym kandydatem, by zaakceptować program radykalnej terapii szokowej. Stawka finansowa zaś była nawet wyższa niż w Ameryce Łacińskiej: Europa Wschodnia pozostawała nietknięta przez zachodni kapitalizm, nie mówiąc o rynku konsumenckim. Wszystkie najcenniejsze przedsiębiorstwa znajdowały się wciąż w rękach państwa – i były pierwszymi kandydatami do prywatyzacji. Potencjał szybkich zysków dla tych, którzy zjawiają się pierwsi, był ogromny.

Wyposażony w wiedzę, że im gorsza będzie sytuacja, tym łatwiej nowy rząd będzie skłonny zaakceptować całkowite przestawienie się na niczym nieskrępowany kapitalizm, MFW pozwalał krajowi coraz głębiej osuwać się w przepaść zadłużenia i inflacji. Biały Dom, w którym zasiadał wówczas George H.W. Bush, pogratulował „Solidarności” zwycięstwa nad komunistami, ale jasno dał do zrozumienia, że amerykańska administracja oczekuje od ruchu związkowego spłaty długów zaciągniętych przez reżim, który go zdelegalizował i więził jego członków – i zaoferował zaledwie 119 milionów dolarów pomocy; śmieszną kwotę jak na kraj, który stoi na krawędzi ekonomicznej zapaści i potrzebuje fundamentalnej przebudowy.

W takiej sytuacji Jeffrey Sachs, wówczas trzydziestoczteroletni, zaczął pracować jako doradca „Solidarności”. Od czasu jego boliwijskich wycieczek, zrobił się spory szum wokół Sachsa. Nie mogąc się nadziwić, jak może być doradcą ekonomicznym w sześciu krajach, a jednocześnie cały czas wypełniać swoje obowiązki akademickie, „Los Angeles Times” ogłosił Sachsa – który wciąż wyglądał jak członek koła naukowego Harvardu. – „Indianą Jonesem Ekonomii”<sup>12</sup>.

Zadanie Sachsa w Polsce zaczęło się jeszcze przed wyborczym zwycięstwem „Solidarności”, na zlecenie komunistycznego rządu. Najpierw przyje-

chał z jednodniową wizytą, podczas której spotkał się z komunistycznym rządem i z „Solidarnością”. To George Soros, miliarder i spekulant walutowy, namówił Sachsa do odegrania bardziej bezpośredniej roli. Soros i Sachs przylecieli do Warszawy razem i jak wspomina Sachs, „powiedziałem «Solidarności» i polskiemu rządowi, że byłbym skłonny bardziej zaangażować się w pomoc w rozwiązaniu narastającego kryzysu ekonomicznego”<sup>13</sup>. Soros zgodził się pokryć koszty założenia przez Sachsa i jego kolegę Davida Liptona, zagorzałego zwolennika wolnego rynku, zatrudnionego wówczas w MFW, stałej misji w Polsce. Gdy „Solidarność” wygrała wybory, Sachs zaczął blisko współpracować z ruchem.

Choć Sachs był wolnym strzelcem, niezatrudnionym na stałe ani przez MFW, ani przez amerykański rząd, w oczach wielu czołowych działaczy „Solidarności” był obdarzony niemal mesjanistyczną mocą. Ze swymi kontaktami na najwyższym szczeblu w Waszyngtonie i legendarną reputacją zdawał się mieć duży wpływ na uruchomienie pomocy i umorzenie długów, co było jedyną szansą dla rządu. Sachs powiedział wówczas, że „Solidarność” powinna po prostu odmówić spłaty odziedziczonych długów i wyrażał przekonanie, że może zorganizować pomoc w wysokości 3 miliardów dolarów – fortunę w porównaniu z tym, co oferował Bush<sup>14</sup>. Pomógł Boliwii uzyskać pożyczki w MFW i renegocjować spłatę długu; wydawało się, że nie ma powodu, by mu nie wierzyć.

Ta pomoc miała jednak swoją cenę; by „Solidarność” mogła uzyskać dostęp do koneksji Sachsa i skorzystać z jego siły przekonywania, rząd najpierw musiał zaakceptować to, co w polskiej prasie ohrzczono mianem „planu Sachsa” lub „terapii szokowej”.

Był to nawet bardziej radykalny kurs od tego, który przyjęto w Boliwii; oprócz zniesienia z dnia na dzień kontroli cen i obciążenia dotacji, plan Sachsa zakładał także sprzedaż państwowych kopalni, stoczni i fabryk sektorowi prywatnemu. Było to bezpośrednie wyzwanie rzucone programowi ekonomicznemu „Solidarności”, który przewidywał własność pracowniczą i choć przywódcy ruchu przestali mówić o kontrowersyjnych elementach tego planu, dla wielu członków „Solidarności” pozostawały one rodzajem wyznania wiary. Sachs i Lipton napisali plan polskiej terapii szokowej w ciągu jednej nocy. Miał piętnaście stron i, jak twierdził Sachs, „był to, jak sądzę, pierwszy raz, gdy ktoś napisał całościowy plan przejścia z gospodarki socjalistycznej do wolnego rynku”<sup>15</sup>.

Sachs był przekonany, że Polska musi natychmiast dokonać „skoku przez instytucjonalną przepaść”, ponieważ oprócz wszystkich innych problemów stała na krawędzi hiperinflacji. Jeżeli do tego dojdzie, mówił, „będzie fundamentalny krach [...] czysta, nieograniczona katastrofa”<sup>16</sup>.

Po kilku indywidualnych seminariach (niektóre trwały do czterech godzin), podczas których tłumaczył plan kluczowym działaczom „Solidarności”, wystąpił także przed grupą posłów. Wielu liderom „Solidarności” nie podobały się idee Sachsa – ich ruch powstał w reakcji na drastyczne podwyżki cen wprowadzone przez komunistów – a teraz Sachs mówił im, by zrobili to samo, tyle że na dużo większą skalę. Argumentował, że mogą sobie na to pozwolić, właśnie dlatego, że «Solidarność» ma kredyt zaufania społecznego, który jest absolutnie wyjątkowy i bardzo ważny<sup>17</sup>.

Przywódcy „Solidarności” nie planowali wykorzystać tego zaufania do prowadzenia polityki, która w niezwykle bolesny sposób uderzyłaby w szeregowych członków ruchu, ale lata spędzone w podziemiu, na wygnaniu lub w więzieniu odizolowały ich od członków związku. Jak tłumaczy polski dziennikarz Przemysław Wielgosz, czołówka ruchu „została w rzeczywistości odcięta [...] poparcie zapewniały im nie fabryki czy zakłady przemysłowe, ale Kościół”<sup>18</sup>. Liderzy desperacko poszukiwali również szybkiego rozwiązania, nawet gdyby miało być ono bolesne, a to właśnie oferował Sachs. „Czy to zadziała? To chcę wiedzieć. Czy to zadziała?” – pytał Adam Michnik, jeden z najbardziej cenionych intelektualistów „Solidarności”. Sachs odpowiedział bez wahania: „To jest dobre. To zadziała”<sup>19</sup>.

Sachs często przywoływał Boliwię jako przykład, który Polska powinna naśladować, więc Polacy byli coraz bardziej zmęczeni, słysząc o tym miejscu. „Bardzo chciałbym zobaczyć Boliwię – zwierzał się wówczas dziennikarzowi pewien lider «Solidarności». – Jestem pewny, że to cudowne, egzotyczne miejsce. Ale nie chcę widzieć Boliwii *tutaj*”. Lech Wałęsa nabrał szczególnie głębokiej antypatii do Boliwii, co wyznał Gonzalowi Sanchezowi de Lozada (Goniemu), gdy obaj panowie w roli prezydentów spotkali się na jakimś szczycie dyplomatycznym kilka lat później. „Podszedł do mnie – wspominał Goni – i powiedział: «Zawsze chciałem poznać jakiegoś Boliwijczyka, a zwłaszcza prezydenta Boliwii, ponieważ gdy kazali nam łykać to bardzo gorzkie lekarstwo, zawsze mówili nam, że powinniśmy to zrobić, ponieważ tak zrobili Boliwijczycy. Teraz, gdy cię znam, widzę, że nie jesteś złym człowiekiem, ale mogę cię zapewnić, że kiedyś cię nienawidziłem»”<sup>20</sup>.

Sachs mówiąc o Boliwii, zapomniał wspomnieć, że do przeforsowania programu terapii szokowej rząd wprowadził stan wyjątkowy i dwukrotnie porwał i internował przywódców związków zawodowych – dokładnie tak, jak to zrobiła tajna policja komunistyczna z liderami „Solidarności” nie tak dawno temu, podczas stanu wojennego.

Wielu uczestników tamtych wydarzeń wspomina dziś, że najbardziej przekonująca była obietnica Sachsa, iż Polska przestanie być wyjątkowa i stanie się „normalna”, tak jak „normalne są inne kraje europejskie”. Jeżeli Sachs miał rację i rzeczywiście można było kraj w przyspieszonym tempie przenieść na poziom Niemiec lub Francji, zrywając po prostu ze strukturami starego państwa, czyż nie warto było podjąć tego wysiłku ze wszystkimi jego bolesnymi konsekwencjami? Po co obierać stopniową drogę zmian, która równie dobrze mogła zawieść – albo szukać pionierskiej trzeciej drogi – skoro pod ręką była Europa w wersji instant? Sachs przewidywał, że terapia szokowa spowoduje „czasową destabilizację”, ponieważ ceny gwałtownie wzrosną. „Ale potem się ustabilizują – bo ludzie będą wiedzieli na czym stoją”<sup>21</sup>.

Zawiązał sojusz z nowo mianowanym ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem, ekonomistą ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. W momencie nominacji polityczne sympatie Balcerowicza były mało znane (oficjalnie wszyscy ekonomiści byli zwolennikami socjalizmu), jednak wkrótce stało się jasne, że uważa się za honorowego członka chłopców z Chicago, który nocami ślęczał nad nielegalnym polskim wydaniem *Wolnego wyboru* Friedmana. Książka ta pomogła „zainspirować mnie, i wielu innych, by marzyć o przyszłej wolności w najczarniejszych czasach rządów komunistycznych”, tłumaczył potem Balcerowicz<sup>22</sup>.

Fundamentalistyczna wizja kapitalizmu Friedmana daleko odbiegała od tego, co Wałęsa obiecywał krajowi latem owego roku. Wciąż twierdził, że Polska może znaleźć bardziej łagodną trzecią drogę, którą w wywiadzie z Barbarą Walters opisywał jako „mieszankę. [...] To nie będzie kapitalizm. To będzie system lepszy od kapitalizmu, który odrzuci wszystko to, co w kapitalizmie jest złe”<sup>23</sup>.

Wielu twierdziło, że szybkie rozwiązanie, które lansowali Sachs i Balcerowicz, jest mitem i że zamiast przenieść Polskę do krainy zdrowia i normalności, terapia szokowa stworzy jeszcze większe obszary nędzy i upadku gospodarki niż wcześniej. „To biedny, słaby kraj. Po prostu nie wytrzymamy szoku” – mówiła dziennikarzowi „New Yorkera” Lawrence’owi Weschlerowi jedna z najbardziej znanych lekarek i działaczek służby zdrowia w Polsce<sup>24</sup>.

Przez trzy miesiące od momentu swojego historycznego zwycięstwa w wyborach i nagłego awansu od roli banitów do ustawodawców, kierownictwo „Solidarności” debatowało, krzyczało na siebie, zastanawiało się, odpalając jednego papierosa od drugiego i nie potrafiło podjąć decyzji, co zrobić. Codziennie kraj pogrążał się w coraz głębszym kryzysie ekonomicznym.

\* Michnik zauważył potem gorzko, że „najgorsze w komunizmie jest to, co przychodzi po nim”.

### Bardzo ostrożne poparcie

Dwunastego września 1989 roku polski premier Tadeusz Mazowiecki miał wygłosić ważne przemówienie w Sejmie wybranym w pierwszych wolnych wyborach. Ścisłe kierownictwo „Solidarności” zdecydowało w końcu, co ma się stać z gospodarką, ale jedynie kilka osób znało ostateczny werdykt – czy miał to być plan Sachsa, stopniowe reformy Gorbaczowa, czy może robotnicze kooperatywy, o których mówił projekt „Solidarności”?

Mazowiecki miał właśnie ogłosić główne kierunki swojej polityki, ale podczas tego doniosłego przemówienia, zanim przedstawił problemy najważniejsze dla przyszłości kraju, stało się coś bardzo złego. Zaczął się chwiać, kuczowo chwycił się mównicy i – według jednego ze świadków – „poblądł, z trudem łapał powietrze i słychać było, jak mamrocze pod nosem: «Nie czuję się zbyt dobrze»”<sup>25</sup>. Współpracownicy wyprowadzili go z sali obrad, pozostawiając 415 posłów na pastwę plotek. Czy to był atak serca? Czy został otruty? Przez komunistów? Przez Amerykanów?

Piętro niżej zespół lekarzy przebadał premiera i zlecił sporządzenie elektrokardiogramu. To nie był atak serca ani trucizna. Premier nie wytrzymał po prostu „dotkliwego przemęczenia”, spowodowanego brakiem snu i nadmiarem stresu. Po prawie godzinie pełnego napięcia oczekiwania wrócił na salę obrad, gdzie powitały go burzliwe oklaski. „Wybaczenie – powiedział intelektualista Mazowiecki. – Stan mojego zdrowia jest taki sam, jak stan polskiej gospodarki”<sup>26</sup>.

I wreszcie zapadł werdykt: znajdująca się w stanie kryzysu polska gospodarka zostanie poddana terapii szokowej w szczególnie radykalnym wydaniu. Nastąpi „prywatyzacja państwowego przemysłu, powstanie giełda papierów wartościowych i rynki kapitałowe, zostanie wprowadzona wymiennalność złotego i odwrót od przemysłu ciężkiego na rzecz produkcji dóbr konsumpcyjnych”, a także jednocześnie zostaną dokonane „cięcia budżetowe” – tak szybko jak to możliwe<sup>27</sup>.

Jeżeli sen „Solidarności” zaczął się od skoku Wałęsy przez stalowy płot w Gdańsku, to wypowiedziana z wysiłkiem zgoda Mazowieckiego na terapię szokową oznaczała koniec tego marzenia. Ostatecznie decyzja sprowadzała się do pieniędzy. Członkowie „Solidarności” nie uznali, że ich wizja wspólnego kierowania gospodarką była błędna, ale ich przywódcy zaczęli się przekonywać, że jedyne, co się liczy, to umorzenie komunistycznych długów i stabilizacja waluty. Jak ujął to wówczas Henryk Wujec, jeden z największych w Polsce zwolenników kooperatyw: „Gdybyśmy mieli dość czasu, być może nawet udałoby się nam to przepchnąć. Ale nie mamy czasu”<sup>28</sup>. Sachs tymczasem mógł zapewnić pieniądze. Pomógł Polsce wynegocjować porozu-

mienie z MFW i załatwił umorzenie części długu oraz miliard dolarów na stabilizację waluty – wszystko to jednak, w szczególności fundusze z MFW, były całkowicie uzależnione od zgody „Solidarności” na terapię szokową.

Polska stała się podręcznikowym przykładem Friedmanowskiej teorii kryzysu: dezorientacja na skutek szybkiej zmiany politycznej, w połączeniu ze społecznym strachem, spowodowanym tąpnięciem gospodarczym sprawiły, że obietnica szybkiej i magicznej zmiany – jakkolwiek iluzoryczna – okazała się zbyt silna, by ją odrzucić. Halina Bortnowska, działaczka ruchu obrony praw człowieka, opisała tempo zmian zachodzących w tamtym okresie jako „różnicę pomiędzy latami życia psów i życia ludzi, tak żyliśmy w tamtym czasie [...] zaczęliśmy mieć do czynienia z reakcjami półpsychotycznymi. Nie można było dłużej oczekiwać, że ludzie będą działać w swoim najlepiej pojętym interesie, skoro byli tak zdezorientowani, że nie wiedzieli – albo nie dbali o to – na czym ten interes polega”<sup>29</sup>.

Minister finansów Balcerowicz przyznał potem, że wykorzystanie nadzwyczajnych okoliczności było celową strategią – podobnie jak wszystkie taktyki szokowe, sposobem na usunięcie opozycji. Tłumaczył, że był w stanie przeforsować politykę, która była antytezą „solidarnościowej” wizji zarówno w formie, jak i w treści, ponieważ Polska znajdowała się, jak to określił, w okresie „polityki nadzwyczajnej”. Opisał te warunki jako dogodny moment, w którym zasady „normalnej polityki” (konsultacje, dyskusje, debaty) nie znajdują zastosowania – innymi słowy, jest to strefa wolna od demokracji w ramach demokracji<sup>30</sup>.

„Polityka nadzwyczajna – powiedział – jest zgodnie z definicją okresem bardzo wyraźnego zerwania ciągłości w historii kraju. To może być okres bardzo głębokiego kryzysu ekonomicznego, załamania poprzedniego systemu instytucjonalnego albo wyzwolenia spod zewnętrznej dominacji (lub koniec wojny). W Polsce wszystkie te trzy zjawiska nałożyły się na siebie w 1989 roku”<sup>31</sup>. Ze względu na nadzwyczajne warunki mógł przeforsować „radykalne przyspieszenie procesu legislacyjnego” w celu przyjęcia pakietu terapii szokowej<sup>32</sup>.

Na początku lat dziewięćdziesiątych teoria Balcerowicza na temat okresów „polityki nadzwyczajnej” budziła spore zainteresowanie wśród waszyngtońskich ekonomistów. I trudno się dziwić: w zaledwie dwa miesiące po tym, jak Polska ogłosiła, że zgadza się na terapię szokową, wydarzyło się coś, co zmieniło kurs historii i nadało polskiemu eksperymentowi znaczenie globalne. W listopadzie 1989 mur berliński został w atmosferze święta zburzony, miasto zamieniło się w festiwal możliwości, a na gruzach zatknięto flagę MTV, tak jakby Berlin Wschodni był powierzchnią Księżycy. Nagle okazało się, że cały świat doświadcza tego samego przyspieszenia co Polacy: Związek

Radziecki znajdował się na krawędzi rozpadu, apartheid w Afryce Południowej sianiał się na ostatnich nogach, reżimy autorytarne upadały jeden po drugim w Ameryce Łacińskiej, Europie Wschodniej i Azji, od Libanu po Namibię kończyły się długoletnie wojny. Wszędzie stare systemy polityczne kończyły żywot, a w ich miejsce powstawały nowe, nie do końca jeszcze ukształtowane.

W ciągu kilku lat wydawało się, że połowa świata znalazła się w okresie „polityki nadzwyczajnej” lub „transformacji” – jak zaczęto nazywać sytuację w krajach świeżo wyzwolonych w latach dziewięćdziesiątych – zawieszonych w egzystencjalnym niebycie między przeszłością a przyszłością. Według Thomasa Carothersa, szefa działającego przy amerykańskim rządzie tzw. urzędu wspierania demokracji, „w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych [...] liczba «krajów objętych transformacją» wzrosła gwałtownie do prawie stu (około 20 w Ameryce Łacińskiej, 25 w Europie Wschodniej i byłym Związku Radzieckim, 30 w Afryce, 10 w Azji i 5 na Bliskim Wschodzie). Zachodziła w nich dramatyczna przemiana od jednego modelu do drugiego”<sup>33</sup>.

Wielu twierdziło, że wszystkie te zmiany oraz upadek prawdziwych i metaforycznych murów doprowadzą do końca ideologicznej ortodoksji. Kraje, uwolnione od polaryzującego efektu dwóch supermocarstw, będą mogły narreszcie wybrać to, co najlepsze w obu światach – pewną hybrydę politycznej wolności i ekonomicznego bezpieczeństwa. Jak ujął to Gorbaczow: „Przez wiele dziesięcioleci byliśmy hipnotyzowani dogmatem, podręcznikowym podejściem i to nie pozostało bez konsekwencji. Dziś chcemy wprowadzić prawdziwie kreatywnego ducha”<sup>34</sup>.

W kręgach szkoły chicagowskiej takie spekulacje o łączeniu i mieszanu ideologii spotykały się z jawną pogardą. Polska jasno pokazała, że ten rodzaj chaotycznej transformacji stworzył sytuację, w której ludzie zdecydowani mogli działać szybko i przeprowadzić radykalne zmiany. Nastąpił moment, gdy w byłych krajach komunistycznych można było zacząć realizować politykę opartą na teorii ekonomii Friedmana, a nie jakiś zgniły keynesowski kompromis. Cała sztuka, mówił Friedman, polegała na tym, że zwolennicy szkoły chicagowskiej mieli gotowe rozwiązania w chwili, gdy wszyscy inni nadal zadawali pytania i dzielili włos na czworo.

Coś w rodzaju podsumowującego spotkania dla tych, którzy podzielali ten punkt widzenia, odbyło się podczas bogatej w wydarzenia zimy 1989 roku. Na miejsce spotkania, jakże by inaczej, wybrano Uniwersytet Chicago. Okazją był wykład Francisca Fukuyamy, zatytułowany: *Czy zbliżamy się do końca historii?*. Dla Fukuyamy, wpływowego doradcy w amerykańskim

Departamencie Stanu, strategia zwolenników nieskrępowanego kapitalizmu była jasna: nie ma co debatować ze zwolennikami trzeciej drogi; zamiast tego trzeba z wyprzedzeniem ogłosić zwycięstwo. Fukuyama był przekonany, że nie ma miejsca na zaniechania, na wybranie z obu światów tego, co najlepsze, na jakiegokolwiek różnicowanie. Upadek komunizmu, powiedział zebrany, prowadzi „nie do «końca ideologii» lub konwergencji kapitalizmu i socjalizmu [...] ale do całkowitego zwycięstwa ekonomicznego i politycznego liberalizmu”. To nie ideologia się skończyła, ale „historia jako taka”<sup>35</sup>.

Wykład sponsorował John M. Olin, długoletni fundator ideologicznej kucjaty Milтона Friedmana i sprawca boomu na prawicowe think-tanki<sup>36</sup>. Synergia wydawała się oczywista, bo Fukuyama na nowo przywoływał tezę Friedmana, że wolni ludzie i wolne rynki stanowią nierozzerwalne części tego samego projektu. Fukuyama przeniósł to twierdzenie na nowy poziom, głosząc, że zderegulowane rynki w sferze ekonomicznej w połączeniu z liberalną demokracją w polityce oznaczają „końcowy punkt w ewolucji ludzkiej ideologii i [...] ostateczną formę ludzkich rządów”<sup>37</sup>. Demokracja i radykalny kapitalizm zostały połączone nie tylko ze sobą, ale także z nowoczesnością, postępem i reformami. Ci, którzy sprzeciwiali się tej fuzji, nie tylko się mylili, ale „wciąż tkwili w historii”, jak ujmował to Fukuyama, podczas gdy wszyscy inni zostali już przeniesieni na niebiańskie, „posthistoryczne” równiny<sup>38</sup>.

Ten argument był wspaniałym przykładem odstępstwa od demokracji, udoskonalonego przez szkołę chicagowską. Tak jak MFW przemycił prywatyzację i „wolny handel” do Ameryki Łacińskiej i Afryki pod przykrywką nadzwyczajnych programów „stabilizacyjnych”, Fukuyama próbował teraz ten sam, wysoce kontrowersyjny plan ukryć w prodemokratycznej fali narastającej od Warszawy do Manili. Jak słusznie zauważył Fukuyama, tworzył się nowy i potężny konsensus, zgodnie z którym wszystkie narody miały prawo rządzić się demokratycznie, ale tylko największym fantantom w Departamencie Stanu mogło przyjść do głowy, że pragnieniu demokracji będzie towarzyszyła tęsknota obywateli, by wprowadzić system ekonomiczny, który pozbawi ich ochrony miejsc pracy i spowoduje masowe zwolnienia.

Jeżeli istniał jakiś prawdziwy konsensus w sprawie czegokolwiek, to taki, że dla ludzi, którzy uwolnili się od prawicowych i lewicowych dyktatur, demokracja oznaczała, iż w końcu mają coś do powiedzenia w kluczowych kwestiach, a nie, że jednostronnie i siłą była im narzucana obca ideologia. Innymi słowy, uniwersalna zasada, którą Fukuyama określił jako „suwerenność narodu”, obejmowała prawo narodów do decydowania o tym, jak dzielony jest majątek ich państw, od losu państwowych firm po poziom finansowania szkół i szpitali. Na całym świecie obywatele byli gotowi, by w końcu wykorzystać

\* Wykład stał się podstawą książki Fukuyamy, *The End of History and the Last Man*, wydanej trzy lata później (wyd. pol. *Ostatni człowiek*).

swe z trudem wywalczone demokratyczne prawa i decydować o przeznaczeniu swoich krajów.

W 1989 roku historia przybrała wymiar euforyczny, wchodząc w epokę prawdziwej otwartości i możliwości. To nie przypadek, że Fukuyama, piastujący wpływowe stanowisko w Departamencie Stanu, wybrał właśnie ten moment, by zamknąć podręcznik do historii. Nie był to również przypadek, że Bank Światowy i MFW wybrały ten sam burzliwy rok na przedstawienie konsensusu waszyngtońskiego – czytelny krok zmierzający do wstrzymania jakiegokolwiek dyskusji i debaty na temat wszelkich idei ekonomicznych poza wolnorynkowym kanonem. To była strategia wyhamowywania demokracji, zaprojektowana tak, by powstrzymać ten rodzaj spontanicznego samookreślenia, które wyznawcy szkoły chicagowskiej zawsze uważali za największe pojedyncze zagrożenie.

### Szok placu Tiananmen

Miejszem, gdzie śmiała deklaracja Fukuyamy została szybko podana w wątpliwość, były Chiny. Jego wystąpienie odbyło się w lutym 1989 roku; dwa miesiące później w Pekinie powstał prodemokratyczny ruch, który przybrał formę masowych protestów i okupacji placu Tiananmen. Fukuyama twierdził, że demokracja i „wolnorynkowe reformy” stanowią bliźniacze procesy, których nie można rozdzielić. A jednak w Chinach rząd postępował dokładnie w ten sposób: mocno forsował deregulację cen i płac i rozszerzał funkcjonowanie rynku – ale był absolutnie zdeterminowany, by nie dopuścić do wyborów i wprowadzenia swobód obywatelskich. Demonstranci, z drugiej strony, domagali się demokracji, ale wielu sprzeciwiało się krokom rządu zmierzającym do nieuregulowanego kapitalizmu – fakt w dużej mierze przemilczany przez zachodnie media, które opisywały ruch. W Chinach demokracja i ekonomia według szkoły chicagowskiej nie szły ręką w rękę; stały po przeciwnych stronach barykad, które otaczały plac Tiananmen.

Na początku lat osiemdziesiątych chiński rząd, którego pracami kierował Deng Xiaoping, obsesyjnie bał się powtórki tego, do czego doszło w Polsce, gdzie robotnikom pozwolono stworzyć niezależny ruch, zdolny zagrozić partyjnemu monopolowi władzy. Chińscy przywódcy nie mieli bynajmniej ochoty bronić państwowych fabryk i komun ludowych, które tworzyły podstawę komunistycznego państwa. W istocie Deng był entuzjastą przejścia na korporacyjny model gospodarki – entuzjastą tak wielkim, że w 1980 roku jego rząd zaprosił Milтона Friedmana do Chin, aby przedstawił setkom najwyższych urzędników, profesorów i partyjnych ekonomistów podstawy teorii wolnego rynku. „W spotkaniu mogły uczestniczyć tylko specjalnie zaproszo-

ne osoby” – wspominał Friedman swoje wystąpienia w Pekinie i w Szanghaju. Główne przesłanie jego wystąpienia brzmiało: „Zwykłym ludziom o wiele lepiej żyje się w krajach kapitalistycznych niż komunistycznych”<sup>39</sup>. Jako przykład podał Hongkong, strefę czystego kapitalizmu, którą długo podziwiał za jej „dynamiczny, innowacyjny charakter, wynikający z osobistej wolności, wolnego handlu, niskich podatków i minimalnej interwencji rządu”. Twierdził, że Hongkong mimo braku demokracji jest bardziej wolny niż Stany Zjednoczone, bo rząd w mniejszym stopniu ingeruje w gospodarkę<sup>40</sup>.

Friedmanowska definicja wolności, głosząca, że swobody polityczne były drugorzędne, a nawet niepotrzebne w porównaniu z wolnością nieograniczonego handlu, dobrze korespondowała z wizją nabierającą stopniowo kształtu w chińskim politbiurze. Partia chciała otworzyć gospodarkę na własność prywatną i konsumeryzm, a jednocześnie utrzymać władzę – plan ten gwarantował, że gdy państwowe aktywa zostaną wystawione na sprzedaż, partyjni urzędnicy i ich krewni otrzymają najlepsze kąski i będą pierwsi w kolejce do największych zysków. Według tej wersji „transformacji”, ci sami ludzie, którzy kontrolowali państwo w czasach komunizmu, mieli je kontrolować w kapitalizmie, tyle że przy okazji ich poziom życia znacznie by się podniósł. Modelem, który chiński rząd miał zamiar naśladować, nie były Stany Zjednoczone, ale coś zbliżonego do Chile pod rządami Pinocheta: wolny rynek połączony z autorytarną kontrolą polityczną, wzmocnioną bezlitosnymi represjami.

Deng rozumiał, że represje będą miały kluczowe znaczenie. Pod rządami Mao chińskie państwo sprawowało brutalną kontrolę nad ludźmi, karało przeciwników i wysyłało dysydentów na reedukację. Jednak represje za czasów Mao stosowano w imieniu robotników i przeciwko burżuazji; teraz partia miała przeprowadzić własną kontrrewolucję i nakłonić robotników, by porzucili wiele ze swoich przywilejów i gwarancji, tak by mniejszość mogła zgarnąć sówite zyski. To nie mogło być łatwe zadanie. Kiedy więc w 1983 roku Deng otworzył kraj na zagraniczne inwestycje i ograniczył ochronę pracowników, nakazał także utworzenie liczących 400 000 ludzi specjalnych oddziałów Milicji Ludowej, których zadaniem było tłumienie wszelkich „przestępstw ekonomicznych” (takich jak strajki i protesty). Według historyka Chin Maurice’a Meisnera: „Specjalne oddziały Milicji Ludowej miały na wyposażeniu amerykańskie śmigłowce i pałki elektryczne”. „Kilka oddziałów zostało wysłanych do Polski na szkolenie w tłumieniu zamieszek” – gdzie studiowały taktykę, którą zastosowano przeciwko „Solidarności” w okresie stanu wojennego<sup>41</sup>.

Wiele reform Denga było udanych i popularnych – rolnicy zyskali większą kontrolę nad swoim życiem, a do miast powrócił handel. Jednak pod koniec lat

osiemdziesiątych Deng zaczął wprowadzać rozwiązania, które były zdecydowanie niepopularne, szczególnie wśród robotników w miastach – zniesiono kontrolę cen, więc lawinowo rosły koszty utrzymania; zniknęło bezpieczeństwo zatrudnienia, znacznie wzrosło bezrobocie, zaś pomiędzy zwyczajcami i przegranymi w nowych Chinach zaczęły tworzyć się głębokie nierówności. W 1988 roku wybuchły potężne protesty i partia komunistyczna musiała częściowo wycofać się z deregulacji cen. Niezadowolenie rosło również z powodu nasilającej się korupcji i nepotyzmu w partii. Wielu obywateli Chin chciało więcej wolności na rynku, ale „reforma” coraz bardziej okazywała się sposobem na to, by urzędnicy partyjni mogli się zmienić w rekinów biznesu. Wielu z nich nielegalnie przejmowało zakłady, którymi wcześniej zarządzali.

Gdy wolnorynkowy eksperyment był zagrożony, jeszcze raz zaproszono do Chin Milтона Friedmana. Podobnie chłopcy z Chicago zwrócili się do niego o pomoc w 1975 roku, gdy ich program [reform ekonomicznych] wywołał rewoltę w Chile<sup>42</sup>. Spektakularna wizyta światowej sławy guru kapitalizmu była impulsem, którego potrzebowali Chińczycy „reformatorzy”.

Gdy Friedman i jego żona Rose przybyli do Szanghaju we wrześniu 1988 roku, byli olśnieni tym, jak szybko Chiny kontynentalne zaczynają przypominać Hongkong. Pomimo wściekłości ludzi znajdujących się na dole drabiny społecznej, wszystko co zobaczyli, utwierdziło ich w tym, co nazwali „naszą wiarą w potęgę wolnego rynku”. Friedman opisał to jako „najbardziej optymistyczny moment chińskiego eksperymentu”.

W obecności państwowych mediów Friedman przez dwie godziny rozmawiał z Zhao Ziyangiem, sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin oraz Jiang Zeminem, wówczas sekretarzem komitetu partii w Szanghaju i przyszłym prezydentem Chin. Friedman miał dla Jianga podobną radę jak dla Pinocheta, gdy chilijski projekt zaczął się chwiać: nie ulegaj presji i nie cofaj się. „Podkreśliłem znaczenie prywatyzacji i wolnego rynku oraz natychmiastowej prywatyzacji” – wspominał Friedman. W memorandum do sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin Friedman podkreślał, że potrzeba więcej, a nie mniej terapii szokowej. „Początkowe kroki Chin na drodze reform były poważnym sukcesem. Chiny mogą uczynić dalszy znaczący postęp, jeszcze bardziej stawiając na *wolne, prywatne rynki*”<sup>43</sup>.

Wkrótce po powrocie do USA Friedman, pamiętając burzę, jaką wywołał doradzając Pinochetowi, napisał „pozbawiony złośliwości” list do redaktora jednej ze studenckich gazet, w którym oskarżył swoich krytyków o podwójne standardy. Tłumaczył, że spędził po prostu dwanaście dni w Chinach, gdzie „większość czasu byłem gościem organów rządowych”, i spotkał się z przedstawicielami kierownictwa Komunistycznej Partii Chin. A jednak te spotkania nie wywołały fali protestów obrońców praw człowieka w amerykańskich

kampusach uniwersyteckich, wskazywał Friedman. „Tak się składa, że dokładnie takich samych rad udzieliłem rządowi Chile i Chin”. I kończył sarkastycznie: „Czy powinienem przygotować się na lawinę protestów, że chciałem dawać radę tak złemu rządowi?”<sup>44</sup>.

W kilka miesięcy później ten paskudny list nabrał złowieszczonego podtekstu, ponieważ chiński rząd zaczął kopiować wiele spośród najbardziej krytykowanych działań z okresu rządów Pinocheta.

Wyprawa Friedmana [do Chin] nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Zdjęcia profesora w oficjalnych gazetach, błogosławiącego przywódców partyjnych, nie przełożyły się na poparcie społeczne. W kolejnych miesiącach protesty przybierały na sile i stawały się coraz bardziej radykalne. Najbardziej widocznym symbolem sprzeciwu były studenckie demonstracje na placu Tiananmen. Te historyczne protesty były przedstawiane przez niemal wszystkie międzynarodowe media jako starcie pomiędzy nowoczesnymi, idealistycznymi studentami, którzy chcieli demokratycznych wolności na wzór zachodni, i starą gwardią autokratów broniących komunistycznego państwa. Ostatnio powstała inna analiza znaczenia wydarzeń na placu Tiananmen, która przeczy powszechnie przyjętej wersji, a jednocześnie stawia ideologię Friedmana w centrum tamtych wydarzeń. Tę alternatywną opowieść snuje m.in. Wang Hui, jeden z organizatorów protestów z 1989 roku i dziś czołowy intelektualista tzw. chińskiej Nowej Lewicy. W swojej książce z 2003 roku *China's New Order* (Nowy porządek Chin) Wang tłumaczy, że protesty objęły szerokie rzesze społeczeństwa – nie tylko elitę uniwersytecką, ale również pracowników fabryk, drobnych przedsiębiorców i nauczycieli. Jak wspomina, podłożem protestów było ogólne niezadowolenie z „rewolucyjnych” reform ekonomicznych wprowadzanych przez Denga, które polegały na obniżaniu płac, podwyższaniu cen i powodowaniu „kryzysu zwolnień i bezrobocia”<sup>45</sup>. Według Wanga, „te zmiany były katalizatorem społecznej mobilizacji w 1989 roku”<sup>46</sup>.

Demonstracje nie odbywały się przeciwko reformom ekonomicznym jako takim; były protestem przeciwko specyficznej friedmanowskiej naturze tych reform – ich tempu, brutalności i faktowi, że proces ten był wysoce antydemokratyczny. Wang pisze, że żądania protestujących, którzy domagali się wyborów i wolności słowa, były blisko związane z niezadowoleniem z reform ekonomicznych. Natomiast fakt, że partia forsowała rewolucyjne zmiany bez żadnych konsultacji społecznych, sprzyjał domaganiu się demokratyzacji życia publicznego. Wang dodaje, że pojawiło się „ogólne żądanie demokratycznych metod kontroli nad uczciwością procesu reform i reorganizacją przywilejów społecznych”<sup>47</sup>.

Te żądania zmusiły politbiuro do dokonania zdecydowanego wyboru. Nie był to wybór, jak się często twierdzi, między demokracją a komunizmem lub „reformami” a „starą gwardią”. Kalkulacja była bardziej złożona: Czy partia powinna za wszelką cenę realizować wolnorynkowy program, co mogła zrobić, jedynie rozjeżdżając protestujących ludzi? Czy też winna ugiąć się przed demokratycznymi żądaniem demonstrantów, zrezygnować z monopolu władzy i zaryzykować poważny cios w swój program ekonomiczny?

Niektórzy wolnorynkowi reformatorzy w łonie partii, zwłaszcza sekretarz generalny Zhao Ziyang, wydawali się skłonni zaryzykować grę z demokracją, ponieważ byli przekonani, że reformy ekonomiczne i polityczne mogą być ze sobą zgodne. Jednak potężniejsze grupy w partii nie były skłonne podjąć tego ryzyka. Werdykt zapadł: państwo musi chronić swój program „reform ekonomicznych”, tłumiąc protesty.

Sygnał był czytelny, gdy 20 maja 1989 roku rząd Chińskiej Republiki Ludowej wprowadził stan wojenny. Trzeciego czerwca czołgi Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej dosłownie rozjechały protestujących, strzelając na oślep do tłumu. Żołnierze zaatakowali autobusy służące studentom jako schronienie i bili ich pałkami; kolejne oddziały sforsowały barykady chroniące plac Tiananmen, gdzie studenci postawili statuę Bogini Demokracji i aresztowali organizatorów. W tym samym czasie podobnie rozprawiano się z protestującymi w całym kraju.

Nigdy prawdopodobnie nie dowiemy się, ilu ludzi zostało zabitych i rannych w tych dniach. Partia przyznała się do setek, a naoczni świadkowie informowali w tym czasie o 2–7 tysiącach zabitych i aż 30 tysiącach rannych. Po stłumieniu protestów rozpoczęło się narodowe polowanie na czarownice, którego ofiarą padli wszyscy krytycy reżimu i opozycjoniści. Aresztowano około 40 tysięcy osób, tysiące wsadzono do więzienia, a wielu – zapewne setki – skazano na śmierć. Podobnie jak w Ameryce Łacińskiej, rząd najsurowsze represje zarezerwował dla robotników fabrycznych, którzy stanowili najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla zderegulowanego kapitalizmu. „Większość aresztowanych i dosłownie wszyscy, których zabito, byli robotnikami. Chcąc w oczywisty sposób sterroryzować społeczeństwo, bicie i torturowanie aresztowanych mocno nagłaśniano” – pisze Maurice Meisner<sup>48</sup>.

W większości wypadków zachodnia prasa przedstawiała masakrę jako kolejny przykład komunistycznej brutalności; tak jak Mao niszczył swoich wrogów podczas rewolucji kulturalnej, teraz Deng, „Rzeźnik z Pekinu”, rozbił swoich krytyków pod czujnym okiem Mao patrzącego z gigantycznego portretu. Nagłówek w „The Wall Street Journal” głosił: „Brutalna akcja Chin grozi cofnięciem 10-letniego procesu reform” – tak jakby Deng był wrogiem

tych reform, a nie ich najbardziej zdeklarowanym obrońcą, zdeterminowanym, by wprowadzić je w Państwie Środka<sup>49</sup>.

Pięć dni po krwawej rozprawie Deng wystąpił z orędziem do narodu i jasno dał do zrozumienia, że użył przemocy, by chronić kapitalizm, a nie komunizm. Określiwszy protestujących mianem „dużego zbiorowiska mętów społecznych”, chiński przywódca potwierdził determinację partii, by dalej realizować ekonomiczną terapię szokową. „Mówiąc krótko, był to test, który zdaliśmy” – powiedział Deng, dodając: „Być może ta zła rzecz pozwoli nam realizować reformy i politykę otwartych drzwi w bardziej systematycznym, lepszym, a nawet szybszym tempie [...]. Nie myliliśmy się. Nie ma nic złego w czterech podstawowych zasadach (reformy gospodarczej). Jeżeli czegoś brakowało, to całościowego wprowadzenia tych zasad”<sup>50</sup>.

Orville Schell, znawca Chin i dziennikarz, podsumował wybór Deng Xiaopinga: „Po masakrze w 1989 roku stwierdził de facto, że nie zatrzymamy reform ekonomicznych; zatrzymamy natomiast reformy polityczne”<sup>51</sup>.

Dla Denga i reszty politbiura wolnorynkowe możliwości były teraz nieograniczone. Tak jak terror Pinocheta przygotował grunt pod rewolucyjną zmianę, plac Tiananmen utworzył drogę do radykalnej transformacji bez strachu, że wywoła ona bunt. Jeżeli życie robotników i chłopów stawało się cięższe, mogli to albo w milczeniu zaakceptować, albo groził im gniew ze strony wojska i tajnej policji. Konfrontując społeczeństwo z nagim terrorem, Deng przystąpił do realizacji swoich najbardziej dotąd radykalnych reform.

Przed wydarzeniami na placu Tiananmen był zmuszony do wycofania się z części najbardziej bolesnych rozwiązań; w trzy miesiące po masakrze przywrócił je i wprowadził kilka innych pomysłów rekomendowanych przez Friedmana, takich jak deregulacja cen. Dla Wang Hui jest to oczywisty powód, dlaczego „reformy, których nie udało się wdrożyć pod koniec lat osiemdziesiątych, dziwnym trafem zostały zrealizowane w sytuacji, jaka nastąpiła po 1989”; powodem – pisze – „jest fakt, że przemoc 1989 roku posłużyła do opanowania społecznego niezadowolenia wywołanego przez ten proces i nowy system cen przybrał ostatecznie kształt”<sup>52</sup>. Innymi słowy, wstrząs wywołany masakrą umożliwił terapię szokową.

W ciągu trzech lat, jakie nastąpiły bezpośrednio po krwawej łaźni, Chiny otworzyły się szeroko na zagraniczne inwestycje, a specjalne strefy ekonomiczne powstawały w całym kraju. Ogłaszając te nowe inicjatywy, Deng przypomniał krajowi, że „jeżeli zajdzie taka potrzeba, zostaną użyte wszystkie

<sup>48</sup> Deng miał kilku wpływowych obrońców. Po masakrze Henry Kissinger napisał artykuł, w którym argumentował, że partia nie miała wyboru. „Żaden rząd na świecie nie pozwoliłby sobie na to, żeby główny plac stolicy był przez osiem tygodni okupowany przez dziesiątki tysięcy demonstrantów. [...] Konfrontacja była nieunikniona”.

dostępne środki, by wyeliminować niepokoje, które mogłyby się pojawić w przyszłości. Wprowadzony może zostać stan wojenny albo jeszcze ostrzejsze środki”<sup>53</sup>.

To ta fala reform zamieniła Chiny w tanie zaplecze produkcyjne świata, preferowaną lokalizację fabryk podwykonawców dla niemal każdego międzynarodowego koncernu na tej planecie. Żaden kraj nie oferował lepszych warunków niż Chiny: niskie podatki i cła, skorumpowani urzędnicy i przede wszystkim mnóstwo taniej siły roboczej, która przez wiele lat nie zaryzykuje domagania się uczciwej płacy czy najbardziej podstawowej ochrony miejsc pracy z obawy przed najbrutalniejszymi represjami.

Dla zagranicznych inwestorów i partii był to układ, w którym każdy wygrywał. Według raportu z 2006 roku, 90 procent chińskich miliarderów (liczonych w chińskich juanach) było dziećmi funkcjonariuszy partii komunistycznej. Około 290 tych partyjnych synów, zwanych „książatkami”, kontrolowało majątek wart 260 miliardów dolarów<sup>54</sup>. To lustrzane odbicie korporacyjnego państwa, którego pionierem było Chile pod rządami Pinocheta: obrotowe drzwi pomiędzy korporacyjnymi i politycznymi elitami, które połączyły swoje siły, by wyeliminować robotników jako siłę polityczną. Dziś to porozumienie o współpracy widać po sposobie, w jaki zagraniczne firmy międzynarodowe z branży medialnej i technologicznej pomagają chińskiemu rządowi szpiegować własnych obywateli i gwarantują, że gdy studenci wstukają w Internecie frazy takie jak „masakra na placu Tiananmen” albo nawet „demokracja”, nie wyświetli się żaden dokument. „Powstanie dzisiejszego społeczeństwa rynkowego nie było wynikiem sekwencji spontanicznych wydarzeń – pisze Wang Hui – ale raczej rezultatem ingerencji [państwa] i przemocy”<sup>55</sup>.

Kolejną prawdą, która wyszła na jaw przy okazji Tiananmen, było uderzające podobieństwo między autorytarną taktyką komunistów i kapitalizmem w wydaniu szkoły chicagowskiej – w podobny sposób chciały one wyniszczyć oponentów i stłumić wszelki opór, by zacząć wszystko od nowa.

Pomimo faktu, że do masakry doszło w zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Friedman zachęcał chińskich polityków do realizowania bolesnej i niepopularnej polityki wolnorynkowej, nigdy nie spotkał się on z „lawiną protestów za gotowość udzielenia rady tak złemu rządowi”. I, jak zwykle, nie widział związku pomiędzy radami, których udzielał, i przemocą, której trzeba było użyć, by wprowadzić je w życie. Friedman potępił użycie przez

<sup>53</sup> Jak zauważa antropolog z Uniwersytetu Nowojorskiego David Harvey, to po Tiananmen Deng ruszył w swoje słynne „południowe tournée”, podczas którego rząd z całą mocą poparł otwarcie na zagraniczny handel i bezpośrednie inwestycje zagraniczne”.

Chiny siły, ale nadal przedstawiał je jako przykład „skuteczności rozwiązań wolnorynkowych w promowaniu zarówno prosperity, jak i wolności”<sup>56</sup>.

Dziwnym zbiegiem okoliczności masakry na placu Tiananmen dokonano tego samego dnia, w którym „Solidarność” odniosła w Polsce historyczne zwycięstwo wyborcze – 4 czerwca 1989 roku. Były to, bez wątpienia, dwa różne przypadki doktryny szoku. Oba kraje musiały wykorzystać szok i strach, by przeprowadzić transformację wolnorynkową. W Chinach, gdzie państwo użyło brutalnych metod, nie cofając się przed terrorem, torturami i zabójstwami, wynik, z perspektywy rynkowej, okazał się niekwestionowanym sukcesem. W Polsce, gdzie wykorzystano jedynie szok ekonomicznego kryzysu i [wprowadzono] szybkie zmiany – i gdzie nie użyto jawnej przemocy – a efekt szoku w końcu przestał działać, wyniki były dużo mniej jednoznaczne.

W Polsce terapia szokowa może i była wprowadzana po wyborach, ale w istocie stanowiła kpinę z procesu demokratycznego, bo pozostawała w bezpośrednim konflikcie z pragnieniami przeważającej większości wyborców, którzy oddali swoje głosy na „Solidarność”. Jeszcze w 1992 roku 60 procent Polaków wciąż sprzeciwiało się prywatyzacji przemysłu ciężkiego. Broniąc swych niepopularnych decyzji, Sachs twierdził, że nie miał wyboru i przyrównywał swoją rolę do chirurga na sali operacyjnej. „Kiedy człowiek jest wwożony na salę, a jego serce przestało bić, po prostu otwierasz mu mostek i nie martwisz się o to, jakie blizny zostawisz – powiedział. Chodzi o to, by jego serce znowu zaczęło pracować. I robisz krwawą jatkę. Ale nie masz wyboru”<sup>57</sup>.

Gdy jednak Polacy doszli do siebie po wstępnej operacji, zaczęli zadawać pytania zarówno o lekarza, jak i metodę leczenia. Terapia szokowa w Polsce nie spowodowała „czasowych zakłóceń”, jak prognozował Sachs, lecz głęboką recesję. Z powodu cięć wydatków rządowych i masowego napływu tanich towarów z importu, bezrobocie skoczyło na niebotyczny poziom i w 1993 roku na niektórych obszarach sięgnęło 25 procent. Było to boleśnie odczuwalne w kraju, w którym pod rządami komunistów, przy całej nieudolności i nadużyciach aparatu władzy, nie było oficjalnego bezrobocia. Nawet gdy gospodarka zaczęła znowu się rozwijać, wysokie bezrobocie okazało się chronicznym problemem. Według ostatnich danych Banku Światowego, stopa bezrobocia w Polsce wynosi 20 procent – i jest najwyższa w Unii Europejskiej<sup>58</sup>. W przypadku ludzi poniżej 24 roku życia sytuacja

<sup>58</sup> To dane nieaktualne. W połowie 2008 roku stopa bezrobocia w Polsce wyniosła 9,6 procent (przyp. wyd. pol.).

jest znacznie gorsza. W 2006 roku bez pracy pozostawało 40 procent młodych pracowników, czyli dwa razy więcej, niż wynosiła średnia unijna. Najbardziej dramatyczne dane dotyczą ludzi żyjących poniżej granicy ubóstwa: w 2003 roku 59 procent Polaków żyło poniżej tej granicy<sup>58</sup>. Terapia szokowa – likwidująca ochronę miejsc pracy, przyczyniająca się do dużego wzrostu kosztów utrzymania – nie zapewniła Polsce statusu jednego z „normalnych” krajów europejskich (z restrykcyjnym prawem pracy i szczodrymi świadczeniami socjalnymi), ale spowodowała te same rosnące nierówności społeczne, które towarzyszyły kontrrewolucji wszędzie tam, gdzie odniosła ona sukces, od Chile do Chin.

Fakt, że to „Solidarność”, ruch stworzony przez polskich robotników, odpowiada za znaczne zwiększenie się liczby ludzi ubogich, oznaczał zdradę ideałów ruchu związkowego i stał się pożywką dla cynizmu i gniewu, z którego kraj ten nigdy do końca się nie otrząsnął. Liderzy „Solidarności” często lekceważą socjalistyczne korzenie ruchu, a Wałęsa dziś twierdzi, że już w 1980 roku wiedział, „że trzeba będzie budować kapitalizm”. Karol Modzelewski, działacz „Solidarności” i intelektualista, który osiem i pół roku siedział w komunistycznych więzieniach, odpowiada gniewnie: „Nie spędziłbym [w więzieniu] ani tygodnia, ani miesiąca, nie mówiąc już o ośmiu i pół roku w imię [budowy] kapitalizmu”<sup>59</sup>.

Przez pierwsze półtora roku rządów „Solidarności” robotnicy wierzyli swoim bohaterom, gdy ci zapewniali ich, że trudności są tymczasowe i stanowią konieczny przystanek w drodze Polski do nowoczesnej Europy. Nawet w obliczu rosnącego w błyskawicznym tempie bezrobocia podejmowali jedynie nieśmiałe akcje strajkowe i czekali cierpliwie, aż lecznicza część terapii szokowej przyniesie efekty. Kiedy obiecane odrodzenie nie nadeszło, przynajmniej nie w formie miejsc pracy, członkowie „Solidarności” byli po prostu zdezorientowani. Jak ich własny ruch mógł sprawić, że poziom życia stał się jeszcze niższy niż w okresie komunizmu? „Mnie [„Solidarność”] nie uchroniła, gdy w 1980 roku zakładałem komórkę «S» na budowie – powiedział 41-letni robotnik budowlany. – Nawet zwracałem się o pomoc, ale powiedziano mi, że dla dobra reformy muszę cierpieć”<sup>60</sup>.

Po około osiemnastomiesięcznym okresie „polityki nadzwyczajnej” baza „Solidarności” miała dość i zażądała końca eksperymentu. O rosnącym niezadowolaniu świadczyła zwiększająca się liczba strajków: w 1990 roku robotnicy, którzy wciąż udzielali „Solidarności” mandatu do działania, strajkowali jedynie 250 razy; w 1992 roku protestów było już ponad 6000<sup>61</sup>. Mając do czynienia z oddolną presją, rząd był zmuszony spowolnić swoje ambitne plany prywatyzacyjne. Pod koniec 1993 roku, w którym miało miejsce prawie 7500 strajków, 62 procent polskiego przemysłu wciąż należało do państwa<sup>62</sup>.

Fakt, że polscy robotnicy byli w stanie zatrzymać masową prywatyzację swojego kraju, oznacza, że jakkolwiek bolesne były reformy, mogły one przynieść znacznie gorsze skutki. Fala strajków bez wątpienia uratowała setki tysięcy miejsc pracy, które w innym przypadku zostałyby utracone, gdyby pozwolono zamknąć te rzekomo nieefektywne zakłady lub radykalnie je „odchudzono” i sprzedano. Co ciekawe, polska gospodarka zaczęła w tym samym okresie szybko rozwijać się, udowadniając, według znanego polskiego ekonomisty i byłego doradcy „Solidarności” Tadeusza Kowalika, że ci, którzy skreślali państwowe firmy jako nieefektywne i archaiczne, „w oczywisty sposób się mylili”.

Oprócz strajków polscy robotnicy znaleźli inny sposób, by wyrazić swój gniew na niegdysiejszych sojuszników z „Solidarności”: wykorzystali demokrację, którą sami wywalczyli, by surowo ukarać ten ruch w wyborach, nie oszczędzając przy tym uwielbianego niegdyś przywódcę Lecha Wałęsę. Najbardziej dramatyczna klęska nastąpiła 19 września 1993 roku, kiedy koalicja partii lewicowych, w tym byli komuniści (przemianowani na Sojusz Lewicy Demokratycznej), zdobyli 66 procent miejsc w parlamencie. „Solidarność” była już wtedy podzielona na zwalczające się frakcje. Związek zawodowy dostał mniej niż 5 procent głosów i nie wszedł do parlamentu, a nowa partia [Unia Demokratyczna] pod wodzą premiera Mazowieckiego zdobyła zaledwie 10,6 procent głosów – trudno o bardziej zdecydowane odrzucenie terapii szokowej.

Jednak w kolejnych latach, gdy dziesiątki krajów zmagaly się z reformowaniem gospodarki, te niewygodne szczegóły – strajki, porażki wyborcze, zwroty polityczne – zostały zapomniane. Zamiast tego Polska służyła za wzór, dowód, że radykalna przemiana wolnorynkowa może przebiegać w sposób demokratyczny i pokojowy.

Podobnie jak w przypadku wielu innych krajów przechodzących transformację, był to w większości mit. Przydawał się jednak lepiej niż prawda: w Polsce demokracja została użyta jako broń przeciwko „wolnemu rynkowi”, zarówno na ulicach, jak i w wyborach. Tymczasem w Chinach, gdzie pęd ku nieskrępowanemu kapitalizmowi przetoczył się po demokracji na placu Tiananmen, szok i przerażenie wyzwoliły jeden z najbardziej lukratywnych i trwałych boomów inwestorskich we współczesnej historii. Kolejny cud zrodził się z masakry.

T.K.